

10843-A R 1967

Dziś w numerze: ● Kto nie szanuje koplejki... ● Widokówka z Kolumny  
Cyrk ● Czarodziej - Walt Disney ● Autor przypomniany ● Fotografia  
tragedii ● Wiersze ● Recenzje ● Felietony ● Polonica

Brak w 19

# Łódź



Nr 1 (415)  
8. I. 1967 r.  
10 stron  
Cena 1 zł

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK X



ŁÓDŹ W FOTOGRAFII

Fot. E. Kudaj

EWERYNA SZMAGLEWSKA

## W Łodzi było mi dobrze i źle, jak w życiu

— „Widocznie już nie jestem zakochany w tym mieście, a pisarz nie powinien mieszkać w miejscowości, której nie kocha.  
— A powiedzmy, że jakiś pisarz nie kocha żadnego miasta na całym świecie.  
— Tym gorzej dla niego.  
— Czemu?  
— **BO PISARZ POWINIEN KOCHAĆ ŚWIAT, INACZEJ NIE MOŻE PISAĆ.**  
— Czemu?  
— Bo wszystko dobre zaczyna się od miłości. Kiedy pisarz kocha świat, wtedy kocha wszystkich, a jeżeli pogłębia tę miłość, wtedy może pisać.”  
(WILIAM SAROYAN: „Cóż za pomysł tało!”)

Nie jestem łódzianką? Łódź zobaczyłam o raz pierwszy wczesną wiosną 1945 roku; narzec — kwiecień. Miasto wydało mi się ajpekniejsze z tych, jakie w ogóle można obie wyobrazić i wybrać. Dookoła rozległe- o placu młoda, żółtawa zielen ledwo roz- lejających się na drzewach liści, tramwaje rruszają z pełń tuż obok miejsca, gdzie atrzymała się ciężarówka pełna ludzi po-

dróżujących „na łebka”. Później dowiedzia- lam się, że był to Plac Leonarda, przemian- nowany w następnych miesiącach, czy la- tach na Plac Niepodległości. Na ulicach i w tramwajach dużo ludzi ubranych skromnie, prostych, przystępnych, takich z którymi łatwo nawiązuje się rozmowę o życiu, o sprawach powszedniego dnia. Bez lęku: ni- kogo już nie trzeba się było bać.

W Łodzi znalazłam swoich profesorów uratowanych z ruin Warszawy, poszłam od razu na ulicę Uniwersytecka 3, żeby ich przywitać. Helena Radlińska miała za sobą piekło powstania przeżywanego na Powi- ślu — okazała mi niesłychanie dużo deli- katności na każdym kroku — forma załat- wienia stypendium Uniwersytetu Łódzkiego na czas pisania relacji o hitlerowskim obo- zie koncentracyjnym, starannie wybrany po- kój w domu życzliwych i niezwykłych w swojej dyskretnej unierzejności ludzi przy ulicy Mostowej, z zielona dżungla sadu za trzema oknami, zacheta do głośnego czyta- nia rozdziałów i epizodów książki, wreszcie pierwszy kontakt z „Czytelnikiem” — to wszystko było mi dane tak, jak Helena Ra- dlińska zwykła była dawać bez ograniczeń

swoim słuchaczom czas, uwagę, najcenniej- sze rady i wskazówki działające ze ścisło- ścia kompasu.

Pisałam więc pierwszą w życiu książkę. Nastrój tych miesięcy przeżytych intensy- wnie w Łodzi sprawia, że widzę to miasto przez pryzmat mozołu i napięcia rozległych dni pracy, dni pełnych spokoju, pomiędzy ludźmi, których obecność w głębi mieszka- nia, czy w ogrodzie nie rozpraszała uwagi. Był to jedyny czas w moim życiu, kiedy miałam idealne warunki pisarskie.

Po latach obozu, głumu, zgiełku — po prostu rai.

Taka więc Łódź poznałam i taka na zaw- sze wrysowała się w moją pamięć, jako miejsce debiutu, jako tło niezwykłych mie- śsicy czterdziestego piątego roku. Z ulicy Piotrkowskiej, gdzie mieścił się „Czytelnik” uciekałam pośpiesznie przed hałasem, razi- ły mnie w równej mierze nie starte jeszcze niemieckie napisy na murach, jak bogate skleplki, w których absolutnie wszystko można było kupić, jeżeli miało się pieni- dze. Wracałam w zacisze ulicy Mostowej, w zielony cień, w otwierające się przede mną godziny pracy. Z ulga przekraczałam gościnny próg domu zarobowanego podczas wojny przez okupantów, teraz przywróco- nego właścicielom i przez nich życzliwie udostępnionego paru osobom pozbawionym dachu nad głową. Z hallu wewnętrzne schody prowadziły na piętro, biegłam i nagle skręcałam w lewo, byłam lokatorem wyjąt-

KONRAD FREJDLICh

## Cwierć wieku

Cwierć wieku, to okres cał- kiem niedługi w życiu narodu, tym bardziej w życiu narodu, który legi- tymuje się tysiącletnią tradycją pań- stwowości i bytu politycznego. Ale w życiu narodu, podobnie jak w bio- grafiiach ludzkich przykładanie zwy- kłej miary lat jest zazwyczaj za- wodne. Są lata, które nieraz znaczą więcej niż całe wieki.

Dokładnie 25 lat temu, 5 stycznia 1942 roku w Warszawie, w konspiracyjnym lokalu przy ulicy Krasieńskiego 18 odbyło się posiedzenie organizacyjne, na którym powołano do życia Polską Partię Robotni- czą.

Zrodził ją czyn, bo alternatywą tamtego złowrogiego czasu było walczyć albo zgła- nąć. Lub raczej: walczyć, żeby zwyciężyć. PPR zrozumiała to od razu, dlatego też nie przypadkowo już w pierwszym nu- merze konspiracyjnego organu partyjne- go, w „Trybunie Wolności” znalazł się ar- tykuł zatytułowany „Front narodów prze- ciw najeźdźcy”, w którym czytamy:

„Polakom nikt wolności nie przyniesie w podarku. Musimy sięgnąć po nią sami. W momencie ciężkim nad wszelki wyraz, ale rojującym przecieł najsmielsze na- dzieje, musimy doścignąć i prześcignąć inne narody w walce z hitlerowskim ja- rzmem.”

PPR nie powstała w politycznej próżni. Wprost przeciwnie, zanim doszło do hi- storycznego zebrania przy ul. Krasieńskie- go 18, w kraju od pierwszych dni działały rozmaite siły polityczne. Były to niejedno- krotne siły, które w istniejących warun- kach świadomie czy nieświadomie reprezen- towały jednoznacznie antynarodowy kieru- nek, podporządkowując swą linię postępo- wania rządowi londyńskiemu i sanacji, któ- ra swą haniebną ucieczką z kraju w pierw- szych dniach wojny i wydaniem Polski na łup okupanta ostatecznie zdyskredyto- wała się w oczach narodu. Ale również od pierwszych dni wojny organizowały się, zrazu rozproszone siły, postępu spo- łecznego, które PPR zjednoczyła w swo- ich szeregach.

Ale, jak to pięć lat temu przypomniał w swym referacie Władysław Gomułka, sekretarz generalny podziemnej jeszcze PPR:

„W walce z Niemcami hitlerowskimi, w walce o wyzwolenie Polski z Jarzma hit- lerowskiej niewoli, naród polski, kierowa- ny przez różne partie, przelał morze krwi. Tej krwi nie można dzielić, nie można o- ceniać jej wartości według jakichś kry- teriów partyjnych. Chylimy czoła przed wszystkimi, którzy w walce tej oddali swe życie, niezależnie od tego, czy wal- czyl w szeregach formacji wojskowych powołanych przez Polską Partię Robotni- czą, czy też w formacjach wojskowych po- wołanych przez partie tzw. obozu londyń- skiego. Walka i ofiara, krwi zarówno żołnierzy Gwardii i Armii Ludowej, jak i żołnierzy Armii Krajowej i Batalionów Chłopskich przyczyniła się i stanowi wspólny wkład do rozgromienia Niemiec hitlerowskich, a więc znajduje się u pod- staw niepodległości naszej ojczyzny — Polski Ludowej. Nie zmienia to jednak faktu, że PPR była jedną partią, która

Dalszy ciąg na str. 6

Dalszy ciąg na str. 3





Pierwszy noworoczny komentarz trzeba rozpocząć od Wietnamu. Bo też Wietnam w okresie świątecznym wzbudzał największe zainteresowanie. Ci, którzy liczyli, że być może, tym razem Stany Zjednoczone wykorzystają okazję i zawieszają na dłuższe bombardowanie północy — oczywiście się zawiedli. Jak gdyby demonstrować, że to w ogóle nie może wchodzić w rachubę, natychmiast po świętach wznowiono zbrodnicze naloty. Tak też się stało i po drugiej przerwie.

Jednocześnie miały miejsce i dwa inne, interesujące fakty. Korzystając z udzielonej mu wizy przez władze DRW korespondent New York Timesa — Salisbury odwiedził Hanoi i opublikował reportaże, z których wynika bezspornie, że lotnictwo USA bombardowało dzielnicę mieszkaniową stolicy Demokratycznej Republiki Wietnamu. W ten sposób czynniki amerykańskie dowiedziały się skrzętnie ukrywanej przez Waszyngton prawdy o wyczynach lotnictwa USA.

Równocześnie kardynał Spellman, który przebywał w Wietnamie poludniowym, w kazaniu do żołnierzy amerykańskich zachęcał do dalszej walki w „obronie cywilizacji”, która w jego przekonaniu musi być prowadzona „do zwycięskiego końca”.

Te trzy fakty dołączyły przystawionej oliwy do ognia — wzmogły sprzeciw wobec agresji amerykańskiej w samych Stanach Zjednoczonych, wywołując ostrą kontrowersję. Z jednej strony wzmocniły one argumentację krytyków polityki Johnsona, z drugiej — zachęciły tzw. „jastrzębi” do wzmaganego ataku na rzecz intensyfikacji działań wojennych. Dyskusja, która znajduje swe odbicie na forum senackiej komisji spraw zagranicznych, przekroczyła granice USA, powodując falę komentarzy w prasie zachodniopoczątkowej. W Paryżu, Londynie, Rzymie, a nawet Bonn krytykuje się bombardowanie obiektów cywilnych i wyraża ostre słowa pod adresem amerykańskiego kardynała, który zapomniał, że „największą cnotą chrześcijańską jest miłość”. Koła watykańskie natychmiast pospieszyły z wyjaśnieniem, że kardynał Spellman „nie mówił w imieniu papieża, ani też w imieniu kościoła rzymsko-katolickiego”. Przypominamy w tym miejscu, że papież dwukrotnie w ostatnim okresie apelował o wykorzystanie przerwy w działaniach wojennych do ustanowienia dłuższej ciszy w nalotach — z nadzieją, że może to doprowadzić do bezpośredniego kontaktu, a nawet do konferencji.

Kontrowersja w Stanach Zjednoczonych nasila się z każdym dniem, pesząc i paraliżując administrację. Nie wychodzi ona na dobre Johnsonowi, który w okresie całej prezydentury osiągnął obecnie najniższy poziom popularności — 43 proc. Reu-

ter pisze, że ten spadek poparcia powoduje, iż otwarcie mówi się w USA, że albo Johnson w ogóle w roku przyszłym nie będzie ubiegać się o fotel prezydencki, albo też — kiedy zaryzykuje — wyjdzie z kampanii wyborczej z porażką.

Inna agencja — DPA — rokuje Johnsonowi bardzo ciężki rok, który ostatecznie może wstrząsnąć jego pozycją: „rozbić — z powodu wojny wietnamskiej — wszystkie jego dalekosiężne plany”.

Skończyłem przegląd wydarzeń w nowym roku pod znakiem Wietnamu — dodajmy, że U Thant w swoim orędziu znów zajął bardzo konsekwentne stanowisko w tej sprawie. Raz jeszcze apelując o zakończenie wojny stwierdził on m. in. co następuje:

„Chociaż ONZ nie znalazła się dotychczas w takim położeniu, aby położyć kres konfliktowi, leży to jednak w ramach zadań tej międzynarodowej organizacji, aby zwrócić uwagę wszystkich przywódców i narodów na poważne problemy, których rozwiązaniem jest niestety odraczane, jak długo wojna zaciemnia horyzont...”.

Zdaniem wielu obserwatorów — sekretarz generalny ONZ w dniu 10 bm., na konferencji prasowej, poinformuje dziennikarzy o szczegółach podejmowanych przez niego wysiłków na rzecz zakończenia wojny.

Konflikt wietnamski — to oczywiście problem nr 1 przelomu lat 1966/67. Od zarysowujących się w tej dziedzinie perspektywy zależy będzie podejmowanie i rozwiązywanie i innych zagadnień międzynarodowych.

Jest jednak i druga — moim zdaniem — charakterystyczna cecha, która przelom ten znakomicie: aktywizacja dyplomacji osobistej, czyli oficjalne podróże mężów stanu.

Obecnie najwięcej komentarzy wywołuje w prasie światowej zapowiedziana na początek lutego podróż premiera Kosyginina do Londynu. Wizyta ta da bowiem okazję do kontynuowania rozmów, rozpoczętych w czasie pobytu Wilsona w Moskwie, latem ub. roku.

Obserwatorzy uważają, że niezależnie od zagadnień interesujących bezpośrednio obie strony najważniejszą w toku podjętych na dwie części rozmów zajmie zagadnienie wietnamskie, nierozpowszechnianie broni jądrowej, a także bezpieczeństwo europejskie. Ich zdaniem — ten ostatni temat nabiera niespodziewanie szczególnego znaczenia.

Zainteresowanie budzi także inna wizyta — duńskiego premiera Kruga w Warszawie. Podkreślając, że w tym spotkaniu z pewnością nie dokona się „wielkich cudów politycznych” — agencje zachodnie, zwracając jednak uwagę, że Kruga powołał polskim rozmówcom rzecz dla nich, w związku z gorącymi zabiegami Polski o nuklearną neutralizację Europy, bardzo miła, a mianowicie, że nie tylko Dania, ale żaden kraj nordycki nie posiada broni jądrowej i o to nie będzie się starać.

My zarejestrujemy tę wizytę na koncie aktywności naszej dyplomacji, która w ub. roku sprowadziła do Warszawy: prezydenta i szachmistrza, dwóch premierów i czterech ministrów spraw zagranicznych, a więc wysokich reprezentantów ośmiu krajów, umożliwiających z nimi dyskusję o współdziałaniu na rzecz pokoju.

W. ŚLAWSKI

## Tkronika TYGODNIA

Przewodniczący Komisji Prawnej Izby Reprezentantów oświadczył, że stosowany przez amerykańskie czynniki oficjalne podstęp telefoniczny, stał się zjawiskiem tak powszechnym, że nikt w Waszyngtonie nie może mieć pewności, czy jego telefon jest naprawdę telefonem prywatnym.

Chińska Republika Ludowa dokonała piątej z kolei doświadczenia eksplozji jądrowej. Moc ładunku jądrowego odpowiada sile kilkuset tysięcy ton konwencjonalnych materiałów wybuchowych. Komentatorzy zagraniczni zwracają uwagę na przyspieszenie rytmu przeprowadzanych eksplozji.

Paryski dziennik „Le Monde” w artykule „Ameryka nie zwyciężyła” tak charakteryzuje wartość wojsk sajskońskich: „Człowiek ze zdumieniem słucha jak władze wietnamskie i amerykańskie powtarzają bez zmrużenia oka cyfrę 700 tysięcy ludzi pod bronią w służbie kraju. Gdyby walczyło 700 tysięcy Wietnamczyków, Narodowy Front Wyzwolenia od dawna zmieciony zostałby z powierzchni ziemi i sama jego egzystencja byłaby czymś niezrozumiałym. W rzeczywistości walkę toczy kilka jednostek, inne udają że walczą, albo współistnieją z przeciwnikami. Stąd zasadnicza rola odgrywana przez obcą armię, którą Waszyngton zmuszony był wysłać do akcji, ponieważ bez niej wojna byłaby przegrana w r. 1965”.

Minister Rolnictwa ZSRR W. Mackiewicz stwierdził w czasie konferencji prasowej, że pod względem kaloryczności wyżywienia w ZSRR nie różni się od wyżywienia ludzi w innych wysoko rozwiniętych krajach. Spożycie na jednego mieszkańca wynosi w ZSRR 3.000-3.200 kalorii dziennie, podczas gdy w Stanach Zjednoczonych 3.000 kalorii, w Anglii — 3.200 kalorii dziennie. Różni się natomiast znacznie struktura żywienia. W Związku Radzieckim np. spożycie mąki i mleka jest znacznie większe, a spożycie mięsa i owoców mniejsze niż w USA.

Prezydent Johnson, który jest właścicielem stacji radiowej oraz stacji telewizyjnej jest również właścicielem wielkich posiadłości ziemskich. W stanie Texas posiada on 6.070 hektarów ziemi. We wszystkich majątkach Johnsona prowadzi się głównie hodowlę bydła.

„Towarzysz Mao Tse-tung jest największym marksistą-leninowcem naszych czasów. Towarzysz Mao Tse-tung w genialny, twórczy i wszechstronny sposób przyjął, obronił i rozwinął marksizm-leninizm w nowe stadium” — pisze druga po Mao w Chinach persona, marszałek Lin Piao, we wstępie do drugiego wydania „Cytatów z dzieł Mao Tse-tunga”.

Związek Radziecki podejmuje wielką kampanię by wkrócić na międzynarodowy rynek mody — pisze korespondent Reutersa w Moskwie. Sygnałem do tej kampanii służyła międzynarodowa wystawa mody, która zostanie latem tego roku zorganizowana w Moskwie. Udział w niej wezmą domy mody

świat, że pod względem liczby słuchaczy obecnych na wieczorach poezji, poecie radzieckiemu udało się pobić wszelkie rekordy. Trzy zbiorki wierszy Jewtuszenki zostały przetłumaczone na język angielski.

Senator Mansfield wyraził pogląd, że Syjam jest zarywaniem jeszcze jednej wojny w rodzaju wietnamskiej. Wydaje się — powiedział senator amerykański — że nasza polityka znalazła się tu na tej samej drodze co i w Wietnamie. Siany Zjednoczone utrzymują obecnie w Syjamie około 37 tysięcy ludzi. Siły te są ustawicznie uzupełniane drogą lotniczą.

Załoga jugosłowiańskiej fabryki produkującej artykuły elektrotechniczne powzięła uchwałę o wprowadzeniu stanu wyjątkowego. Uchwałę tą przyjęto w związku z groźbą zakładowi likwidacji wobec stałego deficytu. Przewodząca ona m. innymi, że każdy pracownik przedsiębiorstwa ma obowiązek przyjąć



Wielka koalicja rządowa w Bonn w oczach karykaturzysty radzieckiego

radzieckie i największe domy mody w świecie.

Delegat Watykanu w Stanach Zjednoczonych wyjął na konferencji prasowej, że w ostatnim roku znacznie zmniejszyły się sumy pieniężne przekazywane z katolickich diecezji amerykańskich do stolicy apostolskiej. Przyczyną tego jest — według opinii przedstawiciela Watykanu — błędne przekonanie, iż Watykan jest dostatecznie bogaty i nie potrzebuje finansowej pomocy.

Eugeniusz Jewtuszenko, znany poeta radziecki, ukończył swój 7-tygodniowy pobyt w Stanach Zjednoczonych. Prasa amerykańska podkre-

każde zlecenie mu zadanie i jeśli zajdzie potrzeba zobowiązany jest pracować do 16 godzin w ciągu dnia i nocy, a także w ciągu świąt i niedziel. Przeciwnie stawia się temu spowoduje automatyczne zwolnienie z pracy.

Związek Radziecki dostarczył Indiom 200 tysięcy ton zboża, by pomóc temu krajowi w przezwyciężeniu braku żywności.

W dyskusji publicznej nad programem polityki zagranicznej Federacji Demokratyczno-Socjalistycznej Lewicy Francji, jej kandydat na szefa państwa Francois Mitterand oświadczył, że wypowiada się za oficjalnym uznaniem NRD jako drugiego państwa niemieckiego.

W Jugosławii nastąpiła z dniem 1 stycznia 1967 r. podwyżka komornego prawie o 25 proc.

Związek Radziecki zakupił w Czechosłowacji kompletne urządzenie kopalni odkrywkowej wartości 100 milionów koron dewizowych. Wyposażenie kopalni waży 12 tysięcy ton, a do jego przewiezienia trzeba będzie użyć 15 pociągów po 40 wagonów towarowych każdy.

Prezydent Kamerunu Ahidjo zdemontował pogłoski, jakoby „cztery piąte jego święty znajdowało się w więzieniu, ponieważ przygotowywało spiszek na jego życie”. Ahidjo stwierdził jednak, że Kamerun nie uniknął „incydentów”, które wydarzają się wszędzie.

Korespondent Agencji DPA donosi z Pekinu, iż w czasie wiecej mieszkańców stolicy Chin, w którym udział wzięli między innymi premier Czou En-laj podjęto rezolucję stwierdzającą, iż ChRL włączy się zbrojnie do konfliktu w Wietnamie o ile Wietnamska Republika Demokratyczna zwróci się o to. Obserwatorzy polityczni w Pekinie zwracają uwagę, że obietnica podjęcia zobowiązania wobec narodu wietnamskiego złożona została po raz pierwszy w tak konkretnej formie.

## ANKIETYZACJA

Polacy dzielą się na dwie kategorie: zankietyzowanych już i niezankietyzowanych jeszcze. Jest to wszakże podział zanikający, niebawem wszyscy będą „już” i to po kilka, a nawet kilkadziesiąt razy. Pasja badawcza, głód prawdziwego poznania, a może i moda, są u nas zbyt silne, aby mógł się ostać choć jeden z takich, co to żadnej ankiety w życiu nie wypełniał. Badają socjologowie i pedagodzy, nauczyciele uczniów, woczniowie zrzeszeni niechrześcijańska młodzież, psychologowie i laryngolodzy, psychiatrzy i pediatrzy, kulturologowie i psychotechnicy, kierownicy podwładnych, poszczególnie pionierzy produkcji swoje kadre, ekspedientki klientów, klienci kelnerów, prognostycy agnostyków i te de i te pe.

Specjalny rozdział narodowej ankietyzacji wciąż jeszcze zapisuje nasza prasa. „Pana(i) najprzejmniejszy sen i pana(i) najprzykrejszy sen, na którym boku pan(i) zasypia, i który bok powoduje u pana(i) sny przyjemne, który zaś przykre i dla czego pana(i) zdaniem”. Nie chodzi zresztą o tematy, chodzi o wypowiedzi, dobre wypowiedzi, epatujące, stylowe, dwuznaczne, podkreślające nie tyle problem ankiety, ile osobę ankietyzowaną. A chodzi dlatego, że to się, bądź co bądź, drukuje. Dlatego jednym z zadań, jakie wysuwa się w bieżącym roku na czoło, musi być zyskanie powszechnej umiejętności brania udziału w ankietach.

Czy ktoś ją już zyskał? W ostatnim numerze z ubiegłego roku „Tygodnika Kulturalnego” warszawskiego ma się rozumieć — ankietyzowani odpowiadają na pytania o dobry lub zły dzień oraz wyrażają swoje sady na temat telewizji polskiej. Przekrój społeczno-zawodowy ankietyzowanych odpowiada sytuacji w kraju. Mamy więc przeważnie literatów, jednego prezesa, kilku innych artystów, młodzież w wieku szkolnym lub akademickim, koniecznie górnik i robotnik-chłopa,

emerytkę, przedstawiciela MO, i babkę kłozetową na okrasę.

Smutny dzień w ubiegłym roku? Nie było smutnego dnia, niemal wszyscy ankietyzowani spośród literatów, czy też aktorów piszą o dniu najszcześliwszym. Prezes Sokorski o dniu, w którym został redaktorem naczelnym „Miesięcznika Literackiego”, Marka Nowakowskiego — literata spotkało wielkie szczęście, ponieważ mu pan Strykowski przyjął opowiadanie do „Twórczości”, Jerzy Piłkowski — literat nie przypomniał sobie smutnego dnia, Andrzej Szypulski pisze z entuzjazmem o swoich zagranicznych wojazach. Wyjątek stanowią tylko dwie osoby — pan Szymon Kobylński i babka kłozetowa. Panu Kobylńskiemu zmarała jego telewizyjna suczka Fikunia, w dniu 23 września ub. r., godzina nie podana, fakt, o którym istotnie należy zawiadomić cały kraj, no, a babka kłozetowa smutna ma życie, gdyż jak pisze: „...z boku” sobie nie dorabiam, tak jak w innych kłozetach... jestem niezawia, wydaje kwitki!”.

Jednym słowem — optymizm, pogoda ducha, radość życia, niestety witalizm, znakomita forma. Pan Kazimierz Rudzki pisze, dlaczego nie może odpisać: „Mam za sobą dwie pełne noce pracy, za chwile idę na wykład do szkoły, a stamtąd znów na całonocne nagranie: „Hipnoza” w Telewizji”. Doprawdy pogratulować znakomitej formy! Za artystami stolecznymi powtarzają zwykli ankietyzowani stolicy. Pani Heppen, księgarz, uważa za najszcześliwszy dzień w swoim życiu, kiedy to pan Hanuszkiewicz nadepnął jej na nogi i nie przeprosił. Też pięknie i optymistycznie, tyle tylko, że u nas, na prowincji niemożliwe do przeżycia. Mamy jeszcze własne nogi, nie brakuje deprecznych i nie przepaszających, ale pana Hanuszkiewicza nie mamy.

Wysoki poziom wypowiedzi utrzymuje się i w wypadku sądów o telewizji. Prezes Sokorski zadzwonił jest ze swojego gospodarstwa, same sukcesy międzynarodowe — Monte Carlo, Aleksandria, Karlowe Vary, rośnie prestiż Polskiej TV w skali światowej. Wypowiedź i skromna i wprowadzająca nas w wielki świat. Pan Szypulski powiada, że ogląda program tylko wtedy, gdy chce „zoba-

czyć swą robotę — „Stawkę większą niż życie”. Także skromna wypowiedź i godna upowszechnienia. Natomiast pan Hanuszkiewicz wypowiada się nie tyle skromnie ile odważnie. Pytany o program TV odpowiada: „Niezręcznie mi mówić. Pan rozumie, ja sam tam pracuję”. Słusznie, brak krytyki jest źródłem międzynarodowych sukcesów instytucji, w której sami pracujemy.

Zwykli teledzielnicy także prawią rewelacje. Ludzie z miasta nie lubią programów rolniczych, natomiast rolnicy nie lubią Kabaretu Starszych Panów. Dowiadujemy się także (babka kłozetowa), że pani Dziędzio jest ładna, inteligentna i posiada delikatne rysy, a w serii pt. „Cztery pancerni i pies”, wojna jest pokazana nieprawdźwie, Niemcy wyglądają jak ostatni frajerzy, jeden tylko pies się udal.

Nie byłem ankietyzowany w tej ankiecie, ponieważ mnie nie zaproszono. Wiadomo, Łódź zawsze się pomija. Ale gdybym był, to bym napisał, że najbardziej podobała mi się kronika kulturalna, nadana w okresie świątecznym przez TV Warszawa, dla całego kraju. Z wydarzeń kulturalnych godnych zaprezentowania Polakom, wybiła się w tej kronice ślub Edyty Wojteczak. To ma przyszość, gdyż niezależnie od ślubów bywają urodziny, chrzciny, imieniny, czy też rozwody, co można by pokazać obok osiągnięć naszych muzyków, pisarzy, czy też plastyków. Skromnie i eleganie, prawda?

*niebanalność*



# Ćwierć wieku

Dalszy ciąg ze str. 1

w okresie okupacji prowadziła słuszną politykę w walce narodu polskiego o wyzwolenie, wolność i niepodległość. Politykę taką, jak PPR, prowadziły później również te ugrupowania polityczne, które wspólnie z PPR utworzyły Krajową Radę Narodową. Wszystkie inne partie prowadziły politykę szkodliwą, a nawet wprost zabójczą dla narodu polskiego.

Poprzez ten sam krótki przypomnienie, bo na te sukcesy, które odniosł nasz kraj i nasz naród wcielając w życie wskazania ideowe PPR, nie zachodzi potrzeba udowodniania antynarodowym politykom ich bankructwa. Sprawiedliwość dziejowa usunęła ich poza nawias historii i narodu.

Program polityczny PPR, jak sama partia powstała w walce i z walki tej, z ofiar i poświęcenia powstawały kształty Polski, która powinna się narodzić. Znamiennym dokumentem tamtych dni, który do dziś zachował żywe treści, jest deklaracja ideowa PPR z listopada 1943 r. zatytułowana „O co walczymy”. Deklaracja, której zasady miały zostać i zostały zrealizowane po przepędzeniu okupanta. W deklaracji tej znajdujemy:

„Przyszła wolna i niepodległa Polska musi być narodową własnością najszerszych mas pracujących. Jej polityczno-społeczne podstawy muszą być oparte na fundamentach szerokiej zasad ludowości, czyli demokracji. Sfera władzy państwowej w przyszłej Polsce przejść musi w ręce przedstawicieli najszerszych warstw narodu, reprezentujących interesy robotników, chłopów i inteligencji”.

I dalej:  
„Przyszła Polska musi stanąć w gronie narodów świata czynnikiem pokoju, żyć w zgodzie i przyjaźni z sąsiadującymi z nią narodami i z racji swego geograficznego położenia być pomostem łączącym Wschód z Zachodem w braterskiej współpracy narodów Europy między sobą”.

Deklaracja „O co walczymy” jako dokument powstały podczas wojny jest naznaczona śladami swojego czasu, ale zawiera jednocześnie znaki czasu przyszłego, czasu, który dopiero nadchodził. I jeden i drugi był czasem próby, jeden i drugi był jednocześnie czasem zwycięstwa. Z perspektywy 25 lat jakże żywo brzmi końcowy fragment deklaracji:

„Droga wiedząca do wolności i niepodległości znacząca jest krewią wielu partyzantów, bojowników, działaczy i sympatyków PPR. Chwała okryli oni imię Polaka — bojownika o wolność”.

Ofiara ich życia nie poszła na marne. Ich miejsce zajmują nowe zastępy bojowników, posiew ich idei ogarnia cały naród. Wysoko trzymając sztandar walki, na którym wypisane jest dumne hasło: „Za naszą wolność i Waszą”, Polska Partia Robotnicza prowadzi naród do zwycięstwa i wolności”.

PPR istniała tylko 7 lat, ale płacąc ogromnymi ofiarami krwi i poświęcenia dokonała dzieła, o które od dziesiątków lat walczył polski ruch robotniczy: wprowadziła kraj na drogę budownictwa socjalistycznego. Wartość ludzi PPR sprawdziła się w tych ogromnych ofiarach, które partia poniosła w czasie okupacji, wartość jej programu sprawdziła się w tym, w czym każdy z nas ma swój udział: w budowie nowej Polski.

Po siedmiu latach działania, 15 grudnia 1948 r., na Zjeździe Zjednoczeniowym PPR ustąpiła miejsca swej spadkobierczyni ideowej, Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, która przejęła jej dorobek ideowo-polityczny i zastępy szczerych komunistów okrzepłych w walce z najeźdźcą i z reakcyjnym podziemiem. W momencie tym dokonane już były najważniejsze przeobrażenia rewolucyjne, zapoczątkowane reformą rolną i nacjonalizacją przemysłu, które otworzyły drogę budownictwa socjalizmu w naszym kraju.

Dlatego też o Polskiej Partii Robotniczej nie można mówić wyłącznie w kategoriach historycznych. Słusność koncepcji politycznych PPR zwyciężyła nie tylko w lipcu 1944 r., w dniu ogłoszenia słynnego Manifestu. Słusność drogi obranej przez PPR, która od pierwszych dni nowej rzeczywistości pokierowała naszą ojczyznę i dziś sprawdza się w codziennych zmaganiach całego społeczeństwa o jeszcze lepszą, bogatszą, szczęśliwszą Polskę.

Przypomnijmy sobie choćby tezy wysunięte przez PZPR na IV Zjazd Partii, który dokonał bilansu dorobku dwudziestolecia istnienia nowej rzeczywistości, przypomnijmy miejsce i rolę Polski w świecie i obozie krajów socjalistycznych. A podobny bilans można przeprowadzić w odniesieniu do każdego miasta, wsi i osiedla, do budżetu każdej rodziny w Polsce. Są to fakty, które upoważniają nas do uzasadnionej dumy.

Ale IV Zjazd Partii zebrał się nie tylko po to, aby podsumować nasz dorobek, zebrał się przede wszystkim po to, aby nakreślić kierunki dalszego rozwoju Polski Ludowej, aby uświadomić całemu narodowi cele, do których kraj nasz będzie zmierzał przez najbliższe lata zachowując wierność temu programowi ideowo-politycznemu, dzięki któremu przed laty Polska Partia Robotnicza przywróciła naszej ojczyźnie wolność i dzięki któremu wzniesione zostały mocne fundamenty odrębnej, sprawiedliwej, socjalistycznej Polski. Wierność programowi, który w nowych warunkach historycznych został wzbogacony o treści odpowiadające wyższemu wymaganiom społecznym.

W ostatnich latach było wiele okazji do dokonywania błędów drogi, która przebyliśmy i utrwaliły się nam w pamięci cyfry będące wykładnikami postępu dokonującego się nieustannie w naszym kraju.

Śledzimy tylko do przykładów z własnego podwórka, do tego, co składa się na kształt już nie całego kraju, ale naszego miasta, jednego z wielu miast przemysłowej Polski. Zaczynamy od tego, co rzuci się w oczy każdemu, kto żyje, mieszka czy choćby przebywa w Łodzi — jego nowa uroda. To rezultat systematycznej przebudowy starych dzielnic i wzniesienia kilkunastu nowych osiedli mieszkaniowych. Żubardz, Koziny, Teofilów, Dąbrowa, Nowe Rokicie, że wymienimy tylko niektóre nazwy związane nieodłącznie z nową Łodzią. A przecież to nie tylko nazwy — to ponad 150000 izb mieszkalnych wojennego budownictwa mieszkaniowego w tym mieście, dziesiątki kilometrów sieci gazowej, setki kilometrów sieci wodociągowej i kanalizacyjnej.

Równie kolosalne przeobrażenia zaszły w dziedzinie przemysłu. Modernizując tradycyjnie związany z Łodzią przemysł włókienniczy dokonaliśmy równocześnie zasadniczych zmian strukturalnych powodując do istnienia całkowicie nowe w naszym mieście gałęzie przemysłu: maszynowy, elektryczny, energetyczny, chemiczny, metalowy. W Polsce Ludowej wzniesiono w Łodzi 25 wielkich zakładów przemysłowych, takich choćby jak fabryka transformatorów „Elita”, zakłady wyrobów papierniczych czy też zakłady „Anilana”. Ponad 10% produkcji tego przemysłu trafia na rynek zagraniczny sławiąc imię Łodzi w stu krajach świata.

taulds Limited”. Wyroby tej firmy a konkretnie kabel Cour-telle standard jak również kabel Cour-telle kurczliwy są wyrobami zdecydowanie ustępującymi analogicznym wyrobom firm:

- włoskiej — ASCA — kabel leacryl
- francuskiej — Societe Rhodiaca SA. Lyon — kabel crylor
- japońskiej — Asahi Chemical Industry Co. LTD — kabel cashimilon
- amerykańskiej — Chemstrand Decatur — kabel acrylan.

Przedziałnie czesankowe przetwarzają kable poliakrylonitrylowe w wszystkich pochodzeń na swoich parkach maszynowych i posiadają odnośnie ich przydatność, jakości i zalet wyrobów jednoznaczny pogląd.

Wydała się ironią zdania użyte przez autora artykułu „Garb na Widzewie”, które gloryfikują produkowany przez Zakłady Włókien Sztucznych kabel anilanowy, porównywanym nawet do „szczytu mistrzostwa”, alii niski to szczyt, a nawet zdaje się być pogórkiem, gdy patrzy się na stosy perłowych nie gromadzących się odpadków wychwytywanych przez żalęgi przedziałnie czesankowych, składa

jących się ze zwisów, przepalanych, przecięt, miejsc nadmierne naniezionej preparacji itp. wad kabla.

Reklamacje kabla anilanowego jedynie w Łódzkich Zakładach Przemysłu Włókiennego stanowiły 30 proc. ogólnego dostaw.

Konieczność sklerowania gros kabla do produkcji przed z przeznaczeniem na wyroby mniej wrażliwe na wady, oraz zwroty całych dostaw kabla dostawy paraliżowały możliwość produkcyjne przemysłu czesankowego. Jedną z repertariuszów reklamacji kabla anilanowego dostawcy, był przyjazd specjalistów angielskiej firmy „Courtaulds Limited”. Specjaliści ci przyglądając się procesowi wytwarzania przed w Łódzkich Zakładach Przemysłu Włókiennego, autorzytatywnie stwierdzili fakt ziego przerobu kabla anilanowego jako następstwa jego wad powstałych z winy producenta.

Jakość wyrobów Zaki. Włók. Sztucznych „Anilana” była równie tematem szeregu zebrań, narad i konferencji na różny sposób szezeblach o różnych kierunkach i składzie osobowym, w Rebiele których najbardziej doniosłą wydaje się być czerwcowa parada producentów Anilany i jej odbiorców zwołana z inicjatywą Zarz. Gl. Zw. Zawodniczy. Pracowników Przem. Chemicznego i Stow. Włók. Polskich.

Kabel standard otrzymywany z przemysłu chemicznego mimo poprawy jakości w ostatnim okresie, lecz o poziomie dalekim od tego który porównać można do poziomu światowego, nie stanowi więc jeszcze rozwiązanie problemu. Istnieje składnik anilany kurczliwej, którego produkcję Zakłady Włókien Sztucznych nie opanowały w stopniu podstawowym. Dotychczas wyprodukowano około 300 kg tego kabla, który zupełnie nie nadawał się do produkcji w przemyśle czesankowym. Przedziałnie czesankowe składnik anilany kurczliwej otrzymują od producenta w postaci surowca cietego. Surowiec ten jeszcze przed użyciem jego do produkcji w wstępnych operacjach przedziałnie czesankowej posiada parametry, a szeze gólnie parametry kurczliwości dyskwalifikujący w ogóle jego przydatność.

Nie wydaje się wystarczające tłumaczenie wytwórcy tego włókna, zasłaniającego się warunkami technicznymi, gdyż otrzymywany z Coventry kabel kurczliwy — Cour-telle posiadał po okresie 6-ciu m-cy cechy

przydatnej kurczliwości. Nie wydają się również w pełni słuszne perswazje producenta Anilany o konieczności przejścia przez przemysł czesankowy na własną produkcję kabla anilanowego kurczliwego na tzw. zespołach Turbo.

Przemysł czesankowy nie izoluje się od współpracy z Zakładami Włókien Sztucznych „Anilana” w celu usunięcia wszystkich przeszkód dla otrzymania naprawdę dobrego jakościowo surowca anilanowego. Niemalnym wkładem pionu inżynierjno-technicznego Łódzkich Zakładów Przemysłu Włókiennego było przezwycięzenie się do usunięcia wad kabla anilanowego u producenta do jakości umożliwiającej w ogóle jego przerob w naszym przemyśle.

Przemysł czesankowy szuka dróg wyjścia z przykrego impasu produkcji przed puszystych. Instaluje u siebie zespoły Turbo do produkcji składnika kurczliwego przed puszystych.

Czy kabel anilanowy standard o cechach jakościowych obecnie posiadanych będzie w ogóle do tego celu się nadawał, pokaże przyszłość najbliższych dni.

Jednakże do czasu właściwego uregulowania problemów jakości produktów wychodzących z Zakl. Wł. Szt. „Anilana” współ-

dzewskiego producenta, jesteśmy skazani na produkowanie przed przeznaczonej na delikatne wyroby dziewiarskie z włókien 100 proc. Anilany cietej typu standard, przed niepuszystych, — czasowo zastępczych. Istnieje więc pilna konieczność usunięcia garbu, o którym wspominał w zakończeniu swego artykułu red. J. Babiński, lecz nie metodą przez niego wskazaną. Metodą jego usunięcia jednak istnieje, można ją rozszyfrować chociażby przez poznanie tajemnicy właściwej dla wyrobów przemysłu czesankowego jakości kabla typu poliakrylonitrylowego, produkowanych przez pozostałych producentów tego surowca na świecie, których nazwy firmowe przytoczono w treści artykułu.

Zakłady Przemysłu Czesankowego zapewniają ze swej strony, podwojenie wysiłków w celu otrzymania przed anilanowych o jakości pozwalającej na uruchomienie produkcji poszu kiwanych na rynku artykułów dziewiarskich, licząc na daleko idące rezultaty związanej z Zakl. Wł. Szt. „Anilana” współprac.

mgr inż. JERZY KOSSAKOWSKI

Cena 50 gr

# TRYBUNA WOLNOŚCI

ORGAN POLSKIEJ PARTII ROBOTNICZEJ

ROK II 1-15 MARZEC 1941 ROKU NK 27-28



## O CO WALCZYMY? (Deklaracja Polskiej Partii Robotniczej).

Milowymi krokami zbliżamy się do zwycięstwa. Pod potężnymi ciężarami Armii Czerwonej łamie się potęga hitlerowska. Wspomnieliśmy zwycięstwa Związku Radzieckiego przybliżają odległą i niebezpieczną drogę wyzwolenia spod jarzma faszystowskiego. Rozszerza się i warstwa zbrodni, narasta walka z najeźdźcą. Krwienie i czyszczenie się wspaniałe fronty i szeregi, przygotowujące ogólnonarodowe powstanie, by wypędzić rozbertwionego okupanta hitlerowskiego i wyzwolić wolną i niepodległą Polskę.

Jakże winny być pierwsze nasze kroki po proklamowaniu wolnej i niepodległej Ojczyzny?

Co należy robić, by Polska była prawdziwie wolną i niepodległą, by nie powtórzył się rok 1918, ani 1939?

1. Unieważnić mandaty wszelkiego rodzaju miarowców (komisarzy, starostów, wójtów itp.), wylonić tymczasowe władze od rad gminnych i miejscich do rady włączając. Natychmiast przystąpić do przygotowań celem przeprowadzenia demokratycznych (pięciopartyjnych) wyborów do Zgromadzenia Narodowego (Konstitucyjny) dla dokonania wyborów prezydenta i rządu, ustalenia form ustrojowych i uwolnienia konstytucji.
2. Rozbroić i internować wszystkich Niemców, przybyłych do Polski po 1 września 1939 r. lub wrogo usposobionych do narodu polskiego, jak również agencjów hitlerowskich. Organizować i uzbroić milicję ludową, przystąpić do reorganizacji armii.
3. Natychmiast uwolnić obywateli polskich z więzień, obozów koncentracyjnych i łagrow. Organizm rządowy powrócić do kraja wyzwolonych przez Niemców Polaków. Postawić przede wszystkim i pierwszym warunkiem użycia siły i siły narodu, nie skierowanej na szańce zetrudniać przy naprawianiu szkód, wyrządzonych działaniem wojennym. Postawić przed specjalny trybunał Ludowy wiojących i zbrodniarzy wojennych (Zdzisław Smoleński, Becka).
4. Wyznać do Państwa Polskiego wszystkie ziemie polskie — na ziemiach opornych decydują wola ludności. Urzeczona część praw narodów samostanowienia o sobie. Zapisać chętnie i ograniczenie obywatelstwa dla Żydów. Ustalić dobrą sąsiedzką i wzajemnie szanującą ze wszystkimi narodami Europy, prowadzić politykę zagraniczną w oparciu o sojusz ze Związkiem Radzieckim.
5. Ogłosić pełną swobodę sumienia, słowa, druku, zgromadzeń i stowarzyszeń.
6. Skonfiskować wszystkie przedsiębiorstwa bankowe, przemysłowe, handlowe i wolne zagranicę przez Niemców. Podjąć starania o zwrot wywiezionego przez okupanta mienia polskiego.
- a. Uspołecznienie przedsiębiorstw bankowych i wielko-przemysłowych z wprowadzeniem kontrol nad produkcją uspołecznionych przedsiębiorstw przemysłowych przez komitety fabryczne.
- b. Przewrócić dawnym właścicielom, szczególnie chłopom wywiezionym z ich ojczyzny, ich gospodarstwa rolne, drobne przedsiębiorstwa przemysłowe i handlowe.
- c. Wyzwolić bez odszkodowania gospodarstwa o powierzchni powyżej 50 ha i rozdzielić ziemię między chłopów mełoczojnych i robotników rolnych.
- d. Wprowadzić 8 godzinny dzień pracy i minimum płacy dla robotników i pracowników umysłowych, zapewnić prawo do pracy dla wszystkich.

Trzeba także przypomnieć będący najwyższym symbolem przemian rewolucyjnych w Polsce kulturalny awans Łodzi, jej 6 wyższych uczelni, licząca się na tysiące rzeszę studentów, setki szkół zawodowych i ogólnokształcących. I przypomnijmy związaną z tym awansem aktywność łódzkiego środowiska naukowego i środowisk twórczych.

Obserwując to, co dzieje się na każdym odcinku naszego życia gospodarczego i społecznego, w obrębie każdego województwa, powiatu czy gromady, w skali całego narodu i w skali jednostkowej, indywidualnej, można powtórzyć za okupacyjną deklaracją ideową Polskiej Partii Robotniczej, która traciła w walce swych najlepszych synów: „Ofiara ich życia nie poszła na marne”.

Nie dlatego, że program PPR był programem procezym. Dlatego właśnie, że był jedynym programem politycznym,

który najlepiej odpowiadał najżywniejszym interesom narodu.

Realizując ten program, który przede wszystkim był programem sprawiedliwości społecznej, zdobyliśmy się na wysiłek, jakiego jeszcze nie znała historia naszego kraju. Jeśli więc te 25 lat, które upłynęły od powstania Polskiej Partii Robotniczej mierzyć miarą tego, co w tym okresie zostało dokonane, trzeba by je uznać niemal za cały wiek. Nie jest to przecież werbalizm, kiedy stwierdzamy, że żyjemy w nowej epoce. Ale 25 lat naszych dokonań można także mierzyć miarą tego, co nam jeszcze pozostało do zrobienia i wtedy okaże się, że te pracowite lata upłynęły nam niezwykle szybko. I każdy, kto położył choćby najmniejszą cegiełkę w budowie nowego, może być dumny z naszego wspólnego dzieła.

KONRAD FREJDLICh

# LISTY KIEDA DO REDAKCJI

PANIE REDAKTORZES

36 numer „Odgłosów” wydany w dniu 4. IX. 1966 r. otwierał Problemy artykuł red. Jana Babińskiego pod tytułem „Garb na Widzewie”.

Wyżej przytoczony artykuł posiada szereg bardzo poważnych nieścisłości, wypszczęjących cały jego sens, a to nie powinno przytrafić się tak wytrawnemu (przynajmniej w moim pojęciu) dziennikarzowi, jakim jest niewątpliwie p. Jan Babiński. Ale przejdźmy do konkretów.

Zakłady Widzewskie produkują Anilana na licencji znanej w świecie firmy angielskiej „Cour-



# Widokówka z Kolumny

Co wiemy o Kolumnie? Skąd się wzięła ta nazwa?

Istnieje kilka wersji tłumaczących nazwę osiedla Kolumna. Jedną z nich opiera się na legendzie o posagu-łotem, co nie jest pozabawione podstępem, bowiem w okresie międzywojennym wykonano tu kilka-nasienie urn świadczących o przebywaniu dawnych plemion w tym miejscu. Jest opowieść, że na Ziemi Łaskiej przebywała kolumna żołnierzy Napoleona, która ponoć zabłądziła w lasach na terenie dzisiejszej osady. Niektórzy uważają, że nazwa Kolumna wywodzi się od herbu właścicieli dóbr podlaskich, hrabiów Colonna-Walewskich. Jak podają źródła historyczne, herbem Kolumna pieczętowało się 29 rodzin szlacheckich w Polsce, w tej liczbie i Walewscy — właściciele Ziemi Łaskiej. Inne źródła podają, że w roku 1826 była tu szlachecka wieś licząca załedwie 5 domów i 29 mieszkańców, zaś w roku 1884 jeden dom przybył, ale ilość mieszkańców wzrosła do 70.

W roku 1927 nastąpił dziełciej dób Walewskich — Janusz Szwelcier uzyskał zezwolenie na parcelację lasu przy szosie i koleji i rozpoczął sprzedaż działek. Liczących od 100 do 500 i więcej m kw. Mnóstwo sosen legło wówczas pod siekiera, a na ich miejscu wytyczono ulice i rozpoczęto budowę letnich rezydencji dla co bogatszych łodzian i pa-bianczan.

W czasie ostatniej wojny Kolumna stanowiąca punkt zborny dla Niemców, których stad rozsyłano po folwarkach, gospodarstwach chłopskich i miasteczkach. Zbudowano wtedy kilka murowańców symptomatycznych dla zbiorowego życia: sale kinowo-zabawowa, w kilka lat po wojnie zamieniona na kościół (a namietam zabawy urządzone czterdziestego w tym przybytku, hucznie, bimbrem płynące, stanowiące niekiedy ring wolny czy arena dla krewkich kompanów od panny i kieliszka), kuchnie-ladodolnie użytkowana po wywołaniu przez Państwowy Urząd Repatriacyjny, później adaptowana na kino wiejskie, dziś przebudowane na kino III kategorii, choć i pierwszej nie ustępuje zarówno pod względem urządzeń jak i repertuaru...

W pierwszych latach powojennych osada załadnia się przede wszystkim repatriantami z Wilna oraz z okolicznych wsi. Wiele domów stało pustych, ludzie wybierali sobie mieszkania. Łatwo dojazd do Łodzi i Pabianic był magnesem ściągającym rodziny wiejskie do Kolumny, gdyż w odradzającym się przemysle każde rece były do pracy potrzebne. Nowy podział administracyjny uczynił Kolumnę gromadą i dał początek terenowej władzy zwanej Gromadzką Radą Narodową. W dniu 1 stycznia 1960 r. byle Miasto-Łas „Kolumna” zostało przemianowane na osiedle, a władza terenowa nazywa się Rada Narodowa Osiedla w Kolumnie.

„Mała stabilizacja” ma w Kolumnie znak indywidualne i społeczne. Te pierwsze, to sporo nowych domków jednorodzinnych oraz znatoryzowane kółka, należące dwa, rzadziej cztery z dachem. Sa też trzy trójkątowe. Jeden — ułatwia osobisty dojazd wielu wazkich spraw ojcu osiedla, Jerzemu Bodnarowi, któremu tylko brak zdrowia przeszkadza w wykonywaniu trudnych obowiązków przewodniczącego RNO. „Mądry i uczciwy człowiek” — mowa o nim kolumnianie.

Te drugie, społeczne znaki zamykają się licza 15 mln zł, jakie Polska wydała w okresie minionej kadencji rad na rozwój osiedla. To sa nowe bloki mieszkalne typu własnościowego (co brawda za drogie dla przeciętnej pracownika z Kolumny — suma pierwszej wpłaty wynosiła ok. 30 tys. zł), to nowe punkty handlowe i usługowe, ulepszona nawierzchnia ulic, kino, wybudowana w 50 proc. w czynnie społecznym re-miza OSP, nowy estetyczny i dobrze zaopatrzony „Dom Książki”, który sprzedaje dużo literatury pięknej, w tym poezji. To rozbudowujące się stale Woj. Przedsiębiorstwo Prefabrykatów Budowlanych, to ośrodek zdrowia borykający się z trudnością mi lokalowymi. To wreszcie dwie szkoły podstawowe, w których uczy się łącznie 1000 dzieci. Jedną mieści się jeszcze w „domku z kart” czyli willi budowanej 40 lat temu w zgola innych celach. Dziś jest pieczołowicie remontowana, co przedłuża jej żywot, ale nie polensza warunków pracy i nauki. Druga — to nowy budynek. Budowe tej szkoły rozpoczęto w czynnie społecznym; mimo to naństwo „dotacilo” 4,5 mln złotych. Właśnie w maju ub. r. ukończyła ona pięć lat pracowitego istnienia.

Zastanawianie się nad atmosfera prowincjonalnego miasteczka budzi z reguły niewesołe refleksje. Fanatyzm klerykalny zapadłej parafii przybiera w większej osadzie nieco odmienne formy. Pasjonujące dyskusje w prasie o życiu nowoczesnego pokolenia nie znalazły się prawie pod dostojną koronę sosen. A jeśli już się zniża, to w postaci ochlapów; modnego big-beatowego tańca czy piosenki, niemilosierznego ignorancja w stosunku do faktów z areny politycznej lub ideowej.

Amerykański western — walka o bilety, polski film psychologiczny — osiemiaście osób na widowni.

Komisja kultury RNO radziła kiedyś nad tym, co zrobić z młodzieżą, która się nie uczy i nie pracuje. Młodzież dorastająca bez uczciwego zajęcia nie siedzi przecież w domu. Wystaje pod kinem, okupuje kawiarnie, szuka wrażeń. Czy chuligani? Niekoniecznie. Jest tylko pospolicie beczelna. Świat do niej należy. Jak ma pieniądze, strzelają korki deptakowego szampana. Potem? Nie szczególnie. Szczęsem zdarzy się włamanie. A normalnie — wdruchujące watahy młodzieńców ufrzywanych a la Beatles przenoszą się od kina do kawiarni i z powrotem, głośno bukując, następnie do klubokawiarni „Ruchu”, zwanej pospolicie Meksykiem, gdzie napowazniejsza rozrywka jest oglądanie telewizyj L... psucie sprzętu. Zreszta nie tylko tam się psuje, prosze zobaczycie fetele w kawiarni „Jagódka”. Kto winien? Nie wiadomo...

Wśród młodych z dentata nie brak nastolatków, co przerwali nauce w technikum, w szkole zawodowej. Dlaczego przerwali? Bo nie ten styl. W szkole regulaminy, słomiane mowy, błądzenie po dziełach starzych i nowych frajerów (!) — tu inaczaj, tu, kiedy się nie podoba, można przybastaować, tu nie potrzeba pekać, starzy tylko strasza. Chata, szkło — stare kawaly, w Kolumnie jest pioner, można zagrać w chowanego; wszyscy się kryja, nikt nikogo nie szuka. Wiecej po co truć się w szkole? Ze strata dla państwa? Kogo to może obchodzić. Jeden z członków komisji zdenerwował się w końcu; dać by takich obiboków do Hufców Pracy, chociaż na jeden rok, niech odrobia straty wyniku skutkiem przerwania nauki! Przymusowe zapewnienie darmozłodów pracy dałoby wielostronne korzyści. Ich samych uczylioby szacunku do pracy, dla innych stałoby się oskądzeniem, żeby szkoły nie rzucac, wreszcie odciełoby się zdrowa psychicznie młodzież od deptakowych stylowców.

Teoretycznie — racja. Praktycznie — pobożne życzenie.

Perspektywy. Plan przyszłościowy zagospodarowania i rozwoju Kolumny przewiduje, że osiedle ma utrzymać i rozwinąć charakter miejscowości wypoczynkowej. Jest wiele do zrobienia. Ośrodek FWP ma być rozbudowany do rozmiarów kombinatu i połączony z kąpieliskiem, które powstanie przy ujściu Pausznicy do Grabi na obszarze ok. 5 ha. Jednocześnie powstanie tam ośrodek campinowy z nowoczesnym motelem. Zbuduje się także male kąpielisko dla dzieci w rejonie kolonii letnich.

Mimo sporych sum przeznaczonych na remonty kapitalne budynków mieszkalnych, nie wszystkie te „domki z kart” wytrzymują próbę czasu. Trzeba je wyburzyć, a na ich miejsce zbudować nowe. Zaimnie się tym przede wszystkim spółdzielnia mieszkaniowa, powstała przed rokiem w Kolumnie. Na spółdzielcze budownictwo własnościowe i lokatorskie wyznaczone sa tereny w południowej części osiedla. Tam też zbuduje się nowa szkoła oraz boisko sportowe. Rejon północny natomiast jest przeznaczony pod działki kwiatowe, owocowe i warzywnicze. Centrum Kolumny połączy sieć wodociągowa, a następnie kanalizacja. Koniecznie trzeba zazielenić teren, bo samymi sosnami nie można się reklamować turystom i wczasowiczom.

Kolumna ma szansę stać się naprawdę „zielonymi płucami” dla Łodzi, miejscem odpoczynku dla przyjeżdżających, a miejscowej ludności — polepszyć nielawne, tak dotąd warunki życia i pracy. Ma szansę stać się miastem kultury i wypoczynku.



# Kto nie szanuje kopiejki...

Sprawy rodziny Heinzłów a szczególnie barona Giuseppe Paolo Tanfaniego di Montalto, który do tej rodziny wszedł przez małżeństwo z córką Juliusza Heinzla, Emilią, sa tak nierozważnie związane z losami Oskara Kona, że warto im tu poświęcić trochę miejsca dla bliźszego omówienia. Zreszta sama osoba barona Tanfaniego, który póź-niej, po wielu latach pobytu w Łodzi, zaczął używać spolszczonego imienia Józef, jest jedną z najciekawszych postaci w krótkiej, lecz bogatej historii Łodzi kapitalistycznej. Jego pojawienie się w tym mieście zamyka epokę wielkich fortun fabrykantów i otwiera nową epokę panowania wielkich bankierów, finansistów i spekulatorów.

Dla edukacji naszego bohatera baron Tanfani stanowił niemiętny ważny etap niż jego niedawna plajta doskonała. Siła niemoal popchnął Tanfani Oszera Kohna na drogę, z której ten miał już nie schodzić do końca życia. Ich losy związały się nierozważnie na pełnych dwadzieścia pięć lat, a ich rozstanie było dramatem godnym uwiecznienia w literaturze.

Zaczynają od tego, że wprawdzie milionowa fortuna nie przewróciła w głowie jej właściciemu twórcy, Juliusza Heinzlowi, ale za to wywarła duży wpływ na światopogląd i sposób bycia jego synów. W głowie Juliusza Heinzla trudno było cokolwiek naruszyć. Była ona zmontowana ze ściśle przylegających do siebie klocków — nie dało się tam nic dołożyć ani ująć. Tęgo typu ograniczeni ludzie z równą łatwością znoszą nędzę, jak bogactwo. Żaden los i żadne przypadki nie sa w stanie ich odmienić. Dochował się Juliusz Heinzel ze swojego małżeństwa z Paulina Folk man czterech synów i jednej córki. Najstarszy z synów, Adolf, urodzony w 1857 roku ożenił się z Emma Lehman i mając lat 25 wyjechał z żoną do Meranu, gdzie osiadł na stałe. W Łodzi się już nie pokazywał i bodaj jedyna jego wizyta był przyjazd na pogrzeb ojca.

Drugi z synów, Gustaw, urodzony w 1859 roku, prawdopodobnie zmarł bardzo młodo. Nie udało nam się znaleźć żadnych śladów po nim, a wiemy, że w podziale spadku po ojcu nie był uwzględniany.

Trzeci, wspomniany tu już Teodor Juliusz, wspólnik Kunitzera, urodzony w 1861 roku, był w Łodzi najbardziej znany, gdyż on to właśnie przejął interesy przemysłowe ojca i odgrywał rolę głowy rodziny. Ponieważ używał tylko imienia Juliusz, więc najczęściej mówiono o nim jako o Juliuszu Heinzlu juniorze. W 1895 roku ożenił się z wnuçką pierwszego w Łodzi przemysłowca na wielką skalę, Emilią Geyer.

Najmłodszy z synów, Ludwik Henryk, urodzony w 1863 roku, ożenił się w tym samym czasie co jego starszy brat. Za żonę pojął hrabiankę Marię Konstancję Walewską, córkę hrabiego Wincentego Walewskiego i hrabianki Marii z Przędzielińskich. Powołując się na słynny romans Napoleona z hrabianką Walewską, babcia jego żony, Ludwik Heinzel twierdził, że jego dzieci beda w prostej linii prawnymi cesarza Francji.

Natomiast Emilie Heinzel, urodzona w 1865 roku, wydana za mąż za barona Giuseppe Tanfaniego w 1886 roku, kiedy to jej mąż nie był jeszcze baronem. Niemniej wydaje się, że tytuł barona, który się dopiero smażył, odegrał w tym mariażu zasadniczą rolę.

Juliusz Heinzel senior, który, jak wiadomo, lubił powoływać się na swoje rzekome koligacje z rodem baronów von Heinzel na Śląsku, u-zewnętrzniał te swoje arystokratyczne ciagoty w bardzo praktyczny sposób. Kiedy miał nadmiar wolnej gotówki, a tak było za jego życia prawie zawsze, to najchętniej lokował ją w ziemi. W spisie masy spadkowej, po jego śmierci, obok wielu parcel i nieruchomości miejskich znalazło się także dwanaście folwarków i majątków ziemskich wraz z młynami, osadami i wsiami — o łącznej powierzchni ponad 5 tysięcy hektarów. Większa część tych posiadłości była usytuowana w bezpośredniej bliskości Łodzi i stanowiła właściwie jej przedmieście, takie jak Radogoszcz, Julianów czy Łagiewniki.

Jego synom, a mówimy tu już tylko o Juliuszu i Ludwiku, to jednak nie wystarczyło. Ponieważ w ostatnich latach swego życia poddawał się bez oporu wszelkim ich życzeniom, więc skłonił oni oca, by kupił również zamek i dobra Hohenfels, leżące w księstwie Sachsen-Coburg-Gotha, z przywiązaniem do tego zamku tytułem baronów von Hohenfels. Transakcja ta została zawarta w 1891 roku i od tego czasu Heinzlowie nosili tytuł baronów von Hohenfels. Mogli przy tym twierdzić, iż jest to tytuł dziedziczny, gdyż przypadał im w spadku po ojcu.

Bawili się więc bracia Heinzel, Juliusz i Ludwik, w arystokratów. Wiadomo zaś, że najmlszym zaje-ciem szlachty są polowania. Przy-

stosowali do tego celu dwa sasiadujące z sobą majątki, Julianów i Łagiewniki, składające się z samych prawie lasów. Zwierzyny było tu sporo, nawet gruboszał, ale że goście strzelali na ogół nieźle, więc od czasu do czasu uzupełniano jej stan, dowożąc dorodne sztuki z innych terenów. Heinzlowie zatrudniali spory oddział łowczych, którzy zawsze mieli aż nadto roboty. Jeżeli nie uczestniczyli w polowaniach na własnych terenach, to jeździli chwytac żywa zwierzynę w lasach spałskich, a nawet w Puszczy Białowieskiej i Piskiej.

Pałac, znajdujący się w majątku julianowskim, został gruntownie odnowiony i rozbudowany. Heinzlowie zgromadzili w nim bezcenne zbiory arcydzieł malarstwa i rzeźby, a także zbiory średniowiecznej broni. W podobny sposób chcieli rzekomo przebudować zapuszczony pałac w Łagiewnikach, ale na nieszczęście — czy raczej na szczęście, gdyż był wysoko ubezpieczony — pałac ten spalił się, zanim przystąpili do realizacji swoich zamiarów.

Na wielkie polowania zimowe, kugli, huczne przyjęcia i inne imprezy, urządzone zawsze ściśle według rytuału zapożyczanego z magnackich dworów — specjalistka w tym względzie była żona Ludwika, hrabianka Walewska — spraszała Heinzlowie gości aż z Berlina i Petersburga. Samo utrzymanie tej rezydencji, z zastępami służby, stajniarni, powozami i innymi bieżącymi wydatkami kosztowało Heinzłów, jak wiadomo, około miliona rubli rocznie. A przecież były także inne koszty. Cesarza Napoleona, za to, że uszlachetnił krew jej rodu, hrabina Walewska przymiowała hucznie i z gestem. Po jego wyjeździe Walewscy mieli wprowadzić tupe więcej błękitnej krwi, ale także znacznie więcej długów. Z małżeństwa Marii Konstancji Walewskiej najbardziej uczeszył się lechwiarz, którzy już dawno stracili nadzieję odzyskania swoich należności, przewyższających znacznie wartość całego majątku Walewskich. Ludwik Heinzel, baron von Hohenfels, tak jak się tego po nim spodziewano, zapłacił wszystkie te długi.

Nawet swój wygląd zewnętrzny przystosowali bracia Heinzel do nowego stanu. Teodor Juliusz zgolił fantazyjne bokobrody, jakie nosili wówczas wyżsi urzędnicy carscy i idący ich wzorem wiewcy fabrykant ci łożcy. Bokobrody te zapuszczal jeszcze jako student, ale teraz nie chciał już wyglądać jak Karol Wilhelm Scheibler czy Karol Anstadt. Nosił natomiast drugie, fantazyjne wasy, takie, jakie widzi się czasem na starych rycinach: wygięte w dół i znów zakrecone do góry ostrzymi i cienkimi szpicami. Jego strojem na co dzień i na wszystkie okazje był prosty surdut, z gładkimi materii. W tym skromnym ubiorze, uzupełnionym laseczką i cylindrem na b-sidejacej głowie, poruszał się z dostojenstwem panującego księcia. Podobnie ubierał się i nosił Ludwik Heinzel, brakowało mu jedynie fantazyjnych wawów.

Giuseppe Tanfaniego wynaleźli bracia Heinzel w Baden-Baden, do-kad jeździli dość często, głównie po to, by poszerzyć teras swoich arystokratycznych znajomości. Tanfani, sam nie posiadający jeszcze wówczas szlachectwa, ze swobodą obracał się w sferach wysokiej arystokracji włoskiej i austriackiej. Ponięważ wiedziano o nim także, że jest człowiekiem bardzo bogatym, więc Heinzlowie uznali go za doskonałego kandydata na meza dla swojej siostry Emilii.

Ślub odbył się w roku 1886, ale dopiero w roku 1895 po śmierci Juliusza Heinzla seniora, Tanfani przeniósł się wraz z żoną na stałe do Łodzi. Termin „na stałe” traktujemy tu umownie, gdyż Tanfani nie lubił długo siedzieć w jednym miejscu. Zreszta jego interesy w różnych krajach Europy powodowały, że więcej czasu spędzał w podróży niż w Łodzi.

Barona Giuseppe Tanfaniego di Montalto szybko rozszyfrowano w łódzkich, rozplótkowanych i wszystkich kawiarniach. Stwierdzono, że jego szlachectwo jest wprawdzie starszej daty niż baronostwo Heinzłów, uzyskał je bowiem już w roku 1888, a więc trzy lata wcześniej, ale też jest za to pewnie dużo tańsze, jako że nabyte w hurtowej transakcji. Akt nadania szlachectwa przez króla włoskiego ro-dzeństwu Tanfani, opiewa bowiem na dziesięć osób: sześciu braci i czterech siostry.

Nie ulegał natomiast wątpliwości fakt spokrewnienia Tanfaniego z autentycznym włoskim arystokratą, markizem Polco Gentile e Farinola, który odwiedzał go często w Łodzi. Ale i ta koligacja traciła zapachem niezbyt czystych interesów.

Wszystko to jednak nie miało większego znaczenia dla rodziny Heinzłów, która w tym czasie była już bardzo bogata i słynna. Właśnie wtedy, w roku 1888, rozpoczęła się w Łodzi wielka febracja kopiejki, która trwała aż do roku 1895.

Wielka febracja kopiejki rozpoczęła się w Łodzi w roku 1888, kiedy to w miejscowości Kolumna, na terenie należącym do rodziny Heinzłów, odkryto złóża diamentów. Złóża te odkrył w roku 1888 właściciel ziemski, hrabia Walewski, który miał w Kolumnie posiadłość, którą w roku 1888 kupił od rodziny Heinzłów. Właścicielem ziemskim w Kolumnie był w tym czasie hrabia Walewski, który miał w Kolumnie posiadłość, którą w roku 1888 kupił od rodziny Heinzłów. Właścicielem ziemskim w Kolumnie był w tym czasie hrabia Walewski, który miał w Kolumnie posiadłość, którą w roku 1888 kupił od rodziny Heinzłów.

Po uzyskaniu zezwolenia drukowało się akcje, które rozprzedawano za pośrednictwem banków, kantorów bankierskich i maklerów giełdowych. Po jakimś czasie, zazwyczaj nawet niedługim, kandydaci na milionerów, współwłaściciele najbogatszych w świecie kopalń złota czy diamentów, dowiadawali się, że ich kopalnie istnieją tylko na papierze, a posiadane akcje sa bezwartościowymi świstkami. W ten sposób tracili złudzenia i oszczędności, zbierane nieraz przez cale życie i mające stanowić ich zabezpieczenie na „czar na godzinę”.

W składzie założycieli takich spółek dobrze było mieć osobę budzącą zaufanie, taka na przykład jak markiz lub jakiś inny utytułowany arystokrata. Do tytułów szlacheckich Milano jeszcze wtedy duże zaufanie i znacznie łatwiej szła sprzedaż akcji.

Bracia Tanfani założyli w Niemczech kilka, czy może nawet kilkanaście takich towarzystw. I chociaż działali sprytnie, zazwyczaj przez podstępne osoby, w końcu zaczęło im grozić zdemaskowanie. W obawie przed procesem karnym i, być może, także zemsta królego z oszukanych akcjonariuszy, zwineli dość wcześnie manatki. Zdobyte kapitały ulokowali w mediolańskim Banca Commerciale Italiana, kupili sobie szlachectwo i przetrucili się na inne, mniej ryzykowne interesy.

Giuseppe z Umbertoem znaleźli bezpniecny azyl w Baden-Baden. Wydaje się, że nawet po małżeństwie z Emilią Heinzel, Giuseppe uważał ostrożność braci za przesadną i dalej parął się dawnym procederem. Zarzucił go dopiero po roku 1890, kiedy w Anglii wybuchło kilka głośnych skandali z aferami grynderskimi i sprawa załaził się sam parlament, gdyż były w niej wmliesane bardzo wysoko postawione osobistości. Musiał być i on wymieniany w jednej z tych wykrytych afer, co wnioskujemy z faktu, że w późniejszych swoich podróży i interesach unikał jak ognia Wyp Brytyjskich. Pierwsza jego wizyta w Londynie miała miejsce dopiero po 90 latach, kiedy dawne afery grynderskie poszły już w zapomnienie.

Stary Juliusz Heinzel zmarł w 1895 roku. Liczył wtedy dopiero 61 lat, ale ludzie powiadała, że znowu, nie myśląc wiele, dobrze zrobił. Dzięki temu bowiem oszczędził sobie widoku synów niszczących w lekkomyślny i głupi sposób jego fortunę.

Przyczyn późniejszego upadku fortuny rodu Heinzłów upatrywano powszechnie w ich nadmiernych wydatkach, wynikających z koszlownej zabawy w magnaterie. Wydaje się jednak, że fortuna Heinzłów była dość duża i dawała dostateczne dochody, by nawet takie wydatki znieść bez szwanku. Znacznie większe szkody przyniosł jej fakt, iż młodzi Heinzlowie także wewnętrznie starali się czym prędzej przemienić w arystokratów.

Ludwik Heinzel w ogóle nie przeważał większej inicytatywy w interesach. Jeżeli nie był zajęty polowaniami, przyjęciami lub innymi towarzyskimi okazjami, to albo objeżdżał swoje majątki ziemskie, albo też bawił w zagranicznych kurortach. Teodor Juliusz Heinzel, podobnie jak brat, uważał, że jako arystokrata nie wypada mu na co dzień zajmować się swymi interesami. Pozostawił więc sobie tylko zasadnicze decyzje, a prowadzenie interesów powierzył prokurentom. Całą swoją energię wydawał się kierować na to, by wszędzie i przy każdej okazji podkreślić swoją pozycję. Uważał to za osobista ulmę, jeśli zdarzyło się gdziekolwiek, że nie był pierwsza, lecz tylko druga osoba. Pod tym kątem wiedzienia zaczął również traktować swoje interesy. Ewentualny zysk przestał być sprawą najważniejszą. Chodziło o to, jaka on sam zaimnie pozycję. Założył więc Towarzystwo Akcyjne „War-rant” i został jego prezesem. Płaszował godność prezesa Miejskiego Towarzystwa Kredytowego oraz prezesa komitetu budowy kościoła katedralnego św. Stanisława Kostki. W kościele tym ufundował słowny ołtarz. Po śmierci ojca postawił na starym emmentaryz katolickim mauzoleum rodziny Heinzłów, które po dziś jest tam najokazalsza budowla.



# Szanowny Redaktorze

Pogoda była grudniowa; — zimna, mgły walewały się nad domami. Powiedział Pan: „Weź wóz i jedź w teren — przewietrzysz się. Tu masz spis miejscowości — trzeba to zobaczyć bo już niedługo tego nie będzie”.

Choć z oporami — ale pojechałem. Długo błądziłem zalesionymi, bocznymi wertepami pełnymi na wprost zamarznitego błota, w końcu odnaleliśmy Teodorzów — gdzie miała być stara, zabytkowa olejarnia.

W drodze wyobrażałem sobie długi mrocznawy, parterowy bez dachu prostokątny budynek, dziury po oknach i drzwiach; budynek podzielony na poszczególne sale, bez podłogi; z ziemi wystają zarzewiane walce, kotły i maszyny z wystłamanymi trybami — wszystko pokryte rdzą i ścianą budynku także rdzawo poznaczone zaciekami.

Wyobraziłem to sobie tak dokładnie, że przejechałem wieś aż do końca, płosząc barany, szukając murów — i nic nie znalazłem.

Dopiero spotkany chłor oblaśnił nas, że olejarnia jest na samym początku wsi w drewnianej stodole.

Zawróciłem więc i już bez trudu rozpoznaliśmy szpon. W środku było ciemno i krzatali się ludzie. Ogromne, zębate drewniane koła jak kierat pokręcały szpony — już nieczynny; obok prymitywna prasa z grubych bierwin, z obrzucim drewnianym młotem zawieszonym u belki dachu.

Całe to urządzenie wyglądało jak fragment szkieletu dinozaura.

Z tyłu na prymitywnym palenisku, kłacząc bebenkiem nad płomieniem podgrzewano rzevak. Pojemnik rozróżniony rzevak wyspano do żelaznej skrzynki w środku prasy, założono kliny, dwóch mężczyzn po obydwu stronach ujęło młot za uchwyty i zaczęło walić w kliny, które wchodziły w żelazne korytka miążżu rzevaka. U dołu tłoczni znajdowała się cieniutka rurka, z której wątlm urywnym strumyczkiem ciekł brunatny olej w podstawioną małą blaszankę. Blaszankę trzymała dziewczyna; korytka z rzevakiem pilnowała kobieta, a dwóch chłopów waliło z całej siły zawieszonym u powąty młotem w stopy tłoczni tak, że cała stodoła trzęsała się od podstawy aż po szczyt.

Nie mogłem się powstrzymać od śmiechu i przedko wypadłem na dwór (aby nie obrazić gospodarzy) gdzie za węglem naryczałem się do syta.

Na bo jakie? Czworo ludzi pracuje jak diabli, aż sto-



Stary młyn w Liczajnej, pow. rawski.

dola trzeszczy i w rezultacie z cienkiej rurki tylko kap — kap po troszeczce oleju.

Czy nie lepiej iść do sklepu i kupić oleju za parę złotych?

To urządzenie przypominało maszynę do rozbijania jajka. Każde uderzenie młotem napędzało nową falę śmiechu, wreszcie się opanowałem i z powrotem wszedłem do stodoły, gdzie już poważnie wypytywałem ludzi o to i owo.

Kobieta powiedziała mi że Łódzkie Muzeum (pewno etnograficzne) ma zabrać całe to urządzenie; — zabytek to bowiem drugiej klasy.

W dalszej drodze panłem siebie za pustą wesołość, ale mimo wszystko coś w środku beczelnie nekalo mi ze śmiechu.

I tak dojechaliśmy do Liczajnej — i znowu żadną miarą nie mogliśmy dobrać do zabytkowego młyna wodnego. Bowiem znowu wyobraziłem sobie urczy zakątek wśród romantycznych wód, — zagajony drzewami i tak dalej.

Kluczyliśmy więc w kółko wyboistymi drogami — nie mogąc odnaleźć tego młyna. Cienkie grudniowe niebo tłoczyło ziemię, lodowata mgła czepliała się drzew. W końcu prawie przypadkiem wysiedliśmy przy jakiejś niepozornej budzie nad błotnistymi rozlewiskami.

To był właśnie ten młyn: — znajdował się w dole mizernej grobli, w poszarpanych wyrwach, chylący się nad bajorem, pokrytym zmarzniętą rzesą.

Z koła już ani śladu, z dziury w ścianie wypadła wprost w błoto zmurszała oś, z ziemi sterczały szczytki oślizłych pali.

To wszystko. Próbowaliśmy dostać się do środka, ale drzwi były mocno zabite gwoździami. Kierowca nie wytrzymał; — zaczął chichotać: „I to ma być zabytek?”

Pochodziliśmy trochę pod drzwiami aby

rozprostować kości; — mgła była coraz większa i zimno coraz bardziej przykre. Z obowiązku reporterskiego wróciłem jeszcze do tej budy aby ją dokładnie obejrzeć — bo to przecież zabytek.

Patrząc tak zobaczyłem jak oś podniosła się z wolna z bajora do poziomu, wokół niej uformowało się z mgły koło, powoli zrekonstruowały się stawidła, słupy podpierające koryto wodne, pale ociekające zimną wodą powyłazły z rzęsy, zaczęły mrugać oczami, drzewo stojące obok młyna przesunęło się do niego, stało się jego częścią konstrukcyjną — przybrało postać ludzka i schyliło się nad bajorem.

Koło jęło się obracać, w środku młyna coraz bardziej wszystko zaczęło skrzypieć i stukać, a białe poruszać się i gadać coraz głośniej. Drzewo trzesło gałęziami jak bio-bitowiec czupryna, wydrzeźniało się i tunoło korzeniami, stało się gwarno w miejscu, gdzie przedtem samotna tylko buda powoli się rozlatywała. Trwało to do chwili, gdy młota się rozwiła — i wszystko wróciło do normalnego stanu.

Przypomniało to szezeke z dziurami po zębach, których korzenie sterczały jeszcze gdzieś tam.

(Miejscowość ta powinna nazywać się nie Liczajna a Zębodołem).

Zmierzało już mocno sady odwiedziłem jeszcze Niebieskie Źródła pod Tomaszowem.

Na spokojnej wodzie zasypiały kaczki — podobne do obłych płaskich pudełeczek o znaczonej białym paskiem brzegach. Niebieskie Źródła są zupełnie zielone — i nie wiadomo dlaczego pomyślono kolory. Chwilę obserwowałem wulkanu kruszalowego piasku wyrzucone na dnie wody.

Kierowca informował: „Wie pan, tu jest 20 metrów głębokości. Zaczeliśmy się sniewać — kierowca nie dał się przekonać, że najgłębiej jest 2-3 metry.”

W końcu na dnie źródła zauważyłem wątlm butelek wyrzuconych przez pijaków.

Powiedziałem szoferowi: „Patrz pan na te butelki!”

„Gdyby były 20 metrów głębiej, wydałyby się znacznie mniejsze, teraz wydają się prawie naturalnej wielkości, to znaczy, że nie jest głęboko; nie sądzę aby zalamanie światła w wodzie powiększyło obraz butelki ponownie do normalnej wielkości”.

To kierowca ostatecznie przekonało. Zamilkł — a ja poczułem się dumny, że chociaż raz w życiu kogoś przekonałem. Nic tak bowiem nie przekonuje Polaka jak butelka pełna czy pusta.

Na drugi dzień gdy po raz wiaty przebrałem rysunek młyna w Zębodołe (paradon: w Liczajnej) doszedłem do wniosku, że dzień wczorajszy mimo wszystko nie był stracony.

Łączę wyrazy szacunku.  
WACŁAW KONDEK



Teodorzów — Stara olejarnia — prasa.

Wymienione wyżej przykłady dotyczą przeważnie późniejszych lat życia Teodora Juliusza Heinzla. Nie miały one już wtedy żadnego znaczenia, a przypominały je tylko dlatego, że pozwalała scharakteryzować jego postać i zrozumieć motyw, jakimi się kierował, kiedy uczynił pierwszy, najbardziej brzemienny w skutki krok, którego nie potrafił zrozumieć łódzki światek interesu.

Widzewska Manufaktura „Heinzel i Kunitzer” dawała zyski większe niż rodzinne przedsiębiorstwo pod firmą „J. Heinzel”. Zaden rozsądny kupiec czy przemysłowiec, gdyby stanął wobec konieczności zrezygnowania z udziałów w jednym z tych dwóch przedsiębiorstw, nie wahałby się ani chwili. Teodor Juliusz Heinzel wcale nie stał wobec konieczności wyboru. Mógł utrzymać w swoim reku obydwie przedsiębiorstwa. A jednak zrezygnował z przedsiębiorstwa lepszego, pozostając przy gorszym, i — wydał się — uczynił to z duża satysfakcją.

Była to sprawa podziału spadku po Juliuszu Heinzlu. Pewna część należała się Tanfanemu, a raczej jego żonie Emilii. Można było ten spadek dzielić na różne sposoby, na przykład dopuścić Tanfaniego do udziału w obydwóch fabrykach i przekazać mu niektóre małaiki ziemi skie lub części akcji Banku Handlowego i papierów wartościowych pozostałych po zmarłym.

Ale w przedsiębiorstwie oca Teodor Juliusz Heinzel był jedynym panem i władcą. Po nim dopiero był il prokurenci, z którymi mógł sobie poczynać jak właściciel majątku

ziemskiego ze swoimi oficyalistami. Natomiast na Widzewie sytuacja była inna. Tam faktycznym władcą był Kunitzer. Niechęć młodego Heinzla do Widzewa była rzeczą znaną. Pokazywał się tam niezmiernie rzadko. Unikał tych miejsc, gdzie nie on grał pierwsze skrzypce.

Skorzystał więc z okazji, żeby pozbyć się niemilego mu obiektu. Nie odbyło się to tak prosto. Iak to tu opisuemy. Heinzel junior wiedział, że oddaje złotą żyć, a Tanfani nie mógł wobec niego grać roli naiwnego i udawać, że jest inaczej. Targi trwały dość długo. Przez wiele lat znaczna część akcji widzewskich pozostawała w reku Pauliny, wdowy po zmarłym. Transakcja była obustronnie uwarunkowana i przebiegała w etapach. Faktom jednak jest, że w lipcu 1898 roku Juliusz Heinzel junior wycofał się z zarządu Widzewskiej Manufaktury „Heinzel i Kunitzer”, a na jego miejsce wszedł baron Józef Tanfani, wprowadzając ze sobą swych wspólników: brata Umberta i jego szwagra, markiza Folco Gentile a Farinola. Liczył się tu jednak tylko Józef Tanfani, gdyż wspólnicy byli od niego uzależnieni.

Współpraca z Kunitzerem, która faktycznie rozpoczęła się dwa lub trzy lata wcześniej, bezpośrednio po śmierci Juliusza Heinzla, kiedy to Tanfani postanowił przenieść swa działalność do Łodzi, nie angażowała jednak nawet drobnej części jego kapitału. Poza otrzymanym spadkiem miał Tanfani przecież sporo własnych milionów. Mówiono, że nie mniej niż Heinzel. Ten kapitał nale-

żało także uruchomić, by przynosił jak największe zyski.

Pomyślne spekulacje gruntowe Heinzłów, które zrodziły ich fortunę, zachęciły go również do tego rodzaju interesów. Działal jednak w sposób bardziej przemyślany. Nie spodziewał się osiągnąć zbyt wielkich zysków kupując grunty i parcele położone w samym mieście, gdyż wskutek trwającego runu budowlanego ich ceny poszły już niesłychanie w górę. Zaczął więc skupować majątki i gospodarstwa chłopskie położone nieco dalej, ale wzdłuż dróg wylotowych z miasta. W najbliższej przyszłości, przy dalszym rozwoju miasta, co zdawało się nie ulegać wątlwości, te grunty musiały najbardziej zwyżkować. W kilka lat później, z inicjatyw Tanfaniego i Heinzla, który był tym w podobny sposób zainteresowany, powstało Towarzystwo Łódzkich Elektrycznych Kolei Dojazdowych. Towarzystwo to wybudowało linie tramwajowe do podłódzkich miasteczek, co samo w sobie było doniosłym interesem, a ponadto wpłynęło na przyspieszenie zwyżki cen gruntów, które uprzednio wykupił. Działal, iak widać, kompleksowo.

O tym, iak szybko i pewnie osiadł Tanfani na łódzkim gruncie, może świadczyć historia budowy hal targowych przy ul. Lutomińskiej, które przez kilkadziesiąt lat jeszcze nosiły nazwę bazaru Tanfaniego.

Dowóz produktów żywnościowych dla miasta, które w ciągu pięciu lat potwoiło liczbę mieszkańców, nie mieścił się już na istniejących rynekach. Tanfani kupił więc wolny plac przy ul. Lutomińskiej, i w ciągu ro-

ku postawił na nim wielką halę targową mieszczącą 150 lokali sklepowych. Obok tej hali postanowił urządzić targowisko dla koni, bydła i zrody, wiec od chłobów, posiadających tu swoje gospodarstwa, odkupił jeszcze kawałki gruntów leżących wzdłuż ulic Stodolnianej i Lutomińskiej.

Nazwa ulicy Stodolnianej pochodziła stąd, że stanowiła ona niedgdy tył typowej polskiej wsi — ulicówki, na której jednym rzędem stały stodoły. Zasadniczą trudność w zakupie tych gruntów stanowił fakt, że ich właściciele żądali doliczenia do ceny sprzedanej wartości stodoł. A przecież stodoły nie były Tanfanemu potrzebne. Tanfani musiał przystać na podwyższoną cenę, ale postawił przy tym swój warunek: przed ostatecznym podpisaniem aktu kupna stodoły miały być ubezpieczone od pożaru przez ich dotychczasowych właścicieli.

Dalszy ciąg tej historii relacjonujemy według prasy łódzkiej: Oto „Rozwój” z 11 sierpnia 1898 roku donosi:

„Gmach p. Tanfaniego przy ulicy Lutomińskiej, gdzie mieścić się ma 145 hal targowych, poświęcony już został pod dach. O ile słyszeliśmy, p. Tanfani zamierza plac ten rozszerzyć i w tym celu traktuje o kupno placów, na których obecnie stoją stodoły. W razie zakupu ich przez p. Tanfaniego stodoły zostałyby zniszczone, a place zabrukowane i osrodzone płotem na targowisko płodoce”.

22 sierpnia tenże „Rozwój” informuje:

# Monopol CZAPKI Z GŁÓW

Encyklopedia podaje w haśle „kipera” — „rzeczoznawca oceniający napoje” lub „pracownik wyspecjalizowany w pielęgnacji i mieszalnictwie alkoholi”. Oczywiście duszy widzimy już kiperą — zazwyczaj jęgomość ze spuchniętą wątroba i czerwonym nosem.

Nic z tego. Nie ma obecnie kiperów — mówi dyrektor Łódzkiej Wytwórni Wódek — St. Palma. Zastąpiła ich chemia, receptura, zespół specjalistów.

Chodźmy więc do „kolektywnego kiperą”. O dzieło jest to trójka młodych ludzi — inżynierów. Pannie Krystyna Łyczkowska, Maria Jakubowska i pan Zbigniew Jankowski.

„Iak się przygotowuje próbny zestaw? — Bardzo prosto. Dajemy różne składniki, bada się ich chemiczne i smakowe właściwości, zestaw potem leżakuje i wówczas nabiera bukietu smakowego”.

Rozumiem. Jest to zapewne to co w języku potocznym określa się zdaniem, że „wódka ze spirytusem musi się przegrzać”.

A więc składniki Specjalitę dla la maison Łódzkiej Wytwórni, czyli wódki pod nazwą Kukulczka. Nalew na dużą różę (duzo witaminy C) czarna porzeczka, kwas cytrynowy, winis, wanilia, sok truskawkowy, sok malinowy, wino gronowe, miód, cukier, spirytus, woda. Uff. Rzeczywiście to bardzo proste.

Dział wódek patunkowych mieści się na niewielkiej przestrzeni trzech kondygnacji. Na górze magazyn spirytusu, w piwnicach mieszalniki i dębowe kadzie na 7 tys. litrów. Siedem tysięcy litrów — 14 tysięcy półlitrówek lub 28 tysięcy „ciwiarek”. A takich kadzi jest 24.

Kiedy kolorowe płyny odleżą już swoje, trzeba je przefiltrować. Łódzka Wytwórnia Wódek zaangażowała do tej pracy... Herkulesa. Na pewno! Przepuścić przez siebie tysiące litrów wódek i jeszcze pewnie stać na nogach może tylko automatyczny filtr marki „Herkules”.

Potem wódkę wędrują do zbiorników, a stamtąd do butelek. Dalszą drogę już znamy.

Wróćmy więc do punktu wyjścia. Iak się robi — powiedzmy — pieprzówkę? Bardzo prosto. Nalew na pieprz, destylacja winny, rum, syrop cukrowy i karmel.

Nie wszystko jest jednak takie proste. Niebaumem ŁWW produkować będzie winiak oparty o stare receptury, który leżakować musi 3 miesiące. Ale to traszka. Bielska psuchówka, czyli po prostu... bimber sliwkowy ma 10 stopni mocy, ale leżakuje 5 lat. Nic dziwnego, że pół litra takiego specjału kosztuje 200 zł.

Ulicą Armii Czerwonej przejeżdża tramwaj. Paru mężczyzna ubrani czapki i kapelusze gęstem opłdanym tylko przed kościołem. Stara łódzka tradycja. Wiadomo — Monopol.

JERZY WILMANSKI

„W sobotę, 20 bm. o godzinie 2 po południu, przy drodze Lutomińskiej spaliło się 6 stodoł napelnionych zbożem ubezpieczonym, należącym do mieszkańców Baht. Straty wynoszą ok. 10 tys. rubli”.

Wśród wielu plotek, iakie krążyły na temat takich szczęśliwych zbiegów okoliczności i przypadków trafiających się Tanfanemu, były i takie, w których przypisywano poważną rolę Oszerowi Kohnowi. I jeżeli już nie cała reka — mówiono — to musiał być w tym umaczany chociaż lezo mały paluszek.

Nie wiemy, ile jest w tym prawdy. Być może, że plótki tego rodzaju powstały w wiele lat później, gdy Oskar Kon był już milionerem. Wiadomo, ludzie lubią się doszukiwać pikantnych anegdotek w przeszłości osób możnych i bogatych. Ale o tym, że Tanfani z radością przyjął takie zrzadzenie losu, możemy nie wątpić. Niby niewiele znaczący tych dziesięć tysięcy rubli, które iako nowy właściciel gruntów i spalonych stodoł zarabiał tytułem premii ubezpieczeniowej. Cóż to było dla niego, wielokrotnego milionera?

Ale trzeba pamiętać, że rubel składa się z kopielek, a milion z tysięcy. Kto nie ceni kopielek, ten nigdy nie dojdzie do milionów. Iak to się nieraz jeszcze w tej opowieści okazało, i Tanfani i Kohn, znali bardzo dobrze te regule.

Fragment książki „Recepta na miliony”, która ukazuje się nakładem „Książki i Wiedzy” w najbliższych miesiącach.



## CYRK

AMFITEATR

Lubię cyrk za jego okrągłość. Siada się gdziekolwiek i z każdego miejsca, poprzez niedaleką przestrzeń areny, ogląda się setki twarzy. Te dalsze, za przyćmionymi światłami i te same w zbliżeniu — nieco dokładniej — w wykonaniu artystów.

Oglądają swoje wloty i akrobacje, swoje pragnienia, których się jeszcze nie nauczyli i występy kłownów, które umieją już znakomicie.

Zastanawiają się, oglądając żonglerkę, jak mistrzom nie pomyli się tych sześć rzucanych do siebie butelek, chociaż twarze same rozróżniają ponad dwadzieścia gatunków i o każdej porze nocy wiedzą ile który kosztuje.

Raz jest się więc koniem biegnącym dookoła areny z dzwiganymi na grzbiecie cyrkowcami i tylko cieszyć się można, że gdy cyrkowiec spadnie i się polamie — idziemy do stajni na skromną, ale bezpieczną kolację.

Raz znów samemu jest się cyrkowcem ujeżdżającym grzbiety i tylko cieszyć się nie wypada, że gdy koń się polamie — wyprawiamy mu pogrzeb i idziemy na obfitą kolację za jego nie wykorzystane honorarium.

Raz wchodzi się na stojącą bez oparcia drabinę, raz samemu jest się drabiną — rekwizytem, po której wspinają się inni.

Najmniej może przyjemnie jest być słoniem, pojedynczym dzwoniem orkiestry, tresowaną pchłą, której nie widać.

Ja przychodzę zawsze po to, żeby przkonać się, czy biegnący szybko wokół miniatury areny koń nie dogoni kiedyś swego ogona, czy nie przegoni samego siebie. Okazuje się jednak, że tylko w życiu jest to możliwe.

Ale gdy człowiek zwycięży samego siebie — nikt mu braw nie bije. Brawo bije się tylko cyrkowcom.

I stojącemu z batem pogromcy. Ale gdy człowiek zwycięży samego siebie — nikt mu braw nie bije. Biję się wtedy jego.



## ILUZJONISTA

Wyciąga z kapelusza i pokazuje zdumionym. Wyciąga to, czego nie włożył. Na tym przecież polega cudowność. Jakis nieokreślony ruch palców, fascynujące spojrzenie, klimat...

Szukałem kiedyś w biurku. Powinno być. Jessem pewien, że tam włożyłem. Do tej intymnej rupieciami, w której zwykle jest wszystko.

Węc dlaczego nie ma?

W tej chwili jest już jutro, i pojutrze, i jeszcze później. Zupelnie daleko. A ja — tak po prostu — mechanicznie już tylko — rzecz by można z nawyku — szukam. Jest mi tak bezwzględnie potrzebne, tak uparcie konieczne, tak wciąż nieodzowne, że czas nie odgrywa już roli.

Muszę znaleźć!

Węc wertuję stare szpargały, raz jeszcze czytając od początku i końca, zaglądam do pudełka po landrynkach, w którym też zwykle jest wszystko.

Potem przeniosłem się do łazienki, za wannę, za wszystkie kąty, których tak nie wiele, do szafy, na ulice, w słońce, deszcz, zimę i lato. Zaglądam ludziom przez okna, do wnętrza autobusów, tramwajów przez szyby, na ostatni przystanek za miasto, w siebie i dookoła. A potem znów wracam do szuflady biurka, pudełka po landrynkach, zapisanych szpargałów.

W istocie tego szukania tkwi sens. Gdy dookoła już go zabrakło.

Węc szukam.

I na pewno nie umiałbym odpowiedzieć już — czego.

Może to dzień napisany w dzieciństwie, może wczorajszy wiersz dotąd nie napisany, może bilet w ogromną przestrzeń z obrazkami?

Może to spinka do mankietów, która przyniesie mi szczęście, może brakująca część do rzeczy już dawno sprzedanej, może bilet do cyrku, w którym właśnie jestem?

I dopiero on — iluzjonista — w ulamku chwili, w nieokreślonym ruchu palców — wyciąga z kapelusza i pokazuje zdumionym.

I teraz już wiem. Ze w szufladzie biurka, w pudełku po landrynkach, w łazience, we wszystkich kątach, w szafie, na ulicy, w słońcu, deszczu, zimie i lecie, i na ostatnim przystanku za miastem — wyciągnę też z kapelusza.

Cudowność iluzji.

## LUDWIK ŚWIEŻAWSKI

## Śpiew domu

Dom — swobodny śpiew  
nad grzywami zieleni  
jak koralowy krzew  
pośród skalistych górzyców,  
z balkonem marzeń nad iglicami drzew.  
Teatr dalekich gościńców  
i niebo bez granic.

Na szachownicy pół promienie i domy są szachami,  
zamek unosi różowe obłoki na wieżach.  
Kiedy burza w skały uderza,  
przez lunę  
łopocze nad lasami chorągiew wichrów zwycięska —  
pioruny rozszepczą buki  
i krzeszą zręby skal  
a potem koi rany niewyczerpana miłość wiosny.

Okna nakłaniają przestwór, aby w nie błękitem prószył  
drzwi otwarte na świat,  
na las i kwiaty, na wszystko co rośnie,  
promień pada na próg.  
W trawach odbite ślady leśnych gości  
sarny i zające podchodzą pod drzwi przed świtem,  
czasem między głazami przesunie się wąż niejadowity,  
któremu nikt krzywdy nie czyni.

Kolory rozlane w kwietne kielichy  
i woni jabłoni przywołują pszczoły,  
ogród, puchar słodczy, pełen po brzegi,  
słońce łaskawie znaczy ciepłe pory,  
przez mróz i zimę rzuca żagiel na śniegi,  
wczesną nowinę.

Dnie pełne treści/  
miódne plastry w wonnej pasiece,  
aby je ludziom podać.  
Niech się płomienne miecze palą!  
Ku słońcu wychodzą naprzeciw  
słoneczni poeci.

## Świt

Pierwsze zaróżwienie przedświt —  
ulatujących zwiastunów hieroglif  
łańcuch żywotnych ogniw.

Rosy zielony dzban  
przytknąć do ust —  
Poruszył żądźbia w łąkach powiew z zacisza,  
spod mlecznych cieni  
soczystej trawy wian.  
Mgłą się lekką boginka pochyla.

Nadjeżdża błyszczący zaprzęg ku niebnym wzgórzom,  
nad przeźroczy bystre poniki  
złocistogrzywe pędzą wózniaki —  
zjawi się młody, mitologiczny bóg w purpurze.

Podaj mi złotą różę!

Splywa rosa niebieska,  
ożywcze wilgotne błyski,  
Maurtkie tęcze,  
rośnie igrzysko.  
Strząsają opalowe obrączki wierzy długowłose.  
Łęk lasów, nieba widnokrag świetlny,  
zaczarowane koło.

Ku krynicznej czystości  
usta rozchylone.

Czerwień i złoto  
po zieleni, po obłokach,  
po tętnicach  
życie uderza  
kwitem.

## W Łodzi było mi dobrze i źle, jak w życiu

## Dalszy ciąg ze str. 1

kowo niesformnym, nigdy nie mogłam sobie odmówić przyjemności zbliżenia się do wielkiego zegara, w którego wnętrzu tkwił ukryty grzącały mechanizm, paroma szarpnięciami wprawiało się w ruch zgrzytliwą mosiężną płytę i nagle, kiedy już kładłam dłoń na poręczy, z trzasków i brzęczeń aparatury wypływały pierwsze tony melodii; należycie była to aria Toreadora z „Carmen” Bizeta grana w znakomitym rytmie, bohaterskim i ożywym; ulegałam temu rytmowi natychmiast, moje kroki stawały się sprężyste i lekkie, szłam odważnie środkiem rozległej areny po skrzywiacym zwierze, zbierałam wszystkie siły, żeby za chwilę stoczyć kolejny bój z wadliwościami. z czasem, z pamięcią, z oszczędnie zapisywanymi kartkami makulatury, na których czystej stronie powstawał mój rekonis.

Łódź jest więc miejscem urodzenia mojej pierwszej książki. Już niedługo potem nie miałam okazji pisać w tak idealnych warunkach, jakkolwiek wkrótce dostawałam świetne mieszkania i choć zaczął się czas wysuwania mnóstwa dyrektyw, postulatów, sugestii

pod adresem oszołomionych autorów (a może właśnie dlatego).

Przedtem zdażylam poznać tam ludzi, których zaufanie było i jest nadal bardzo dla mnie cenne, których prace z zainteresowaniem obserwuję z oddalenia. Zdażylam polubić styl miasta kobiet oddychających byłem wiośniem, oglądałam ze zgroza pozostałości z lat wyzysku, takie, jak przedziałnia saneczkowa reczna, jak rudery bez kanalizacji, jak potworne farbarnie. Coś istotnego żyje we mnie z tamtych uczuć i zapewne sporo, bo ilekroć biore do rąk jakiś przedmiot w warszawskim sklepie — iesionkę, wiatrówkę, niżame — pochodzącą z łódzkich zakładów (a widzę z roku na rok, jak rośnie poziom wykonania, zaprojektowania, wykończenia roboty) przenika mnie głęboka radość i chciałabym przestać swoją myśl wyrażoną słowami: „Pozdrawiam cie, łodzianko!”.

W Łodzi urodzili się moi dwaj synowie, Witk i Jacek; pozostali oni najwierniejszymi entuzjastami tego miasta, które wedle nich jest najpiękniejsze, tak piękne, jak dzieciństwo; tam nauczyli się pisać, tam za warli swoje pierwsze w życiu przyjacieli. Tego się nie zapomina.

Jednakże pewnego dnia uściśnłam dłonie sympatycznych łodzian i odjechałam w kie-

runku stolicy, śladem wielu koczowniców. Te wyjazdy były niejednokrotnie komentowane, jako nieoportunność wobec miasta. Rzeczywiście, na pozór tylko ptasiego mleka nam brakowało w tak pięknym Domu Literatów.

A tymczasem brakowało nam wówczas atmosfery. Brakowało niektórym elokwentnym działaczom umiejętności spokojnego, humanistycznego patrzenia na prace pisarza, cierpliwego czekania na siew i na plon, bołaty nas wypowiedzi przekreślające wszystko, co nie łączyło się z „tematyka łódzka” (jakby naprawdę mogło istnieć podobne uproszczenie, „tematyka łódzka, tematyka skierniewicka, tematyka pacanowska”). Mnie się zawsze zdawało, a szczególnie wtedy, tuż po debiucie, który potwierdził w jakimś stopniu moje młodzieńcze założenia teoretyczne, że literatura powinna interesować sprawy ludzkie, problemy ludzkie, powikłania, konflikty ogólnoludzkie, że bez tego nie ma literatury, tymczasem energiczni mówcy widzieli to inaczej, oni woleli i zamiast i, nie mówiąc już o kreskowanym u. No i tak o te kreszeczki rozbiło się to i owo.

Uczono — w całym kraju zresztą — jak pisać i co sobie najlepiej obrać jako temat pracy. Pamiętam, ulokowano mnie kiedyś w prezydium, a potem wzywano erządownicę pracy, łódzka włókiennicę, notabene, nieobecna tego dnia, ktoś jednak sadził, że to ją reprezentuje fabrykę bawełniana, dająca wysoki procent normy.

Swobodnie snostowałam omyłkę, a wtedy wyniosły ojciec miasta zawyrokoował z ironicznym grmasem:

— I wy też możecie być przodownia pracy, napiszcie nam tylko powieść o naszej Radzie Narodowej!

(Przydomniał mi się wtedy plakat z wypisanym hasłem: „Ty także możesz zostać górnikiem”, wieszacy w pewnej warszawskiej redakcji; sadzano przy tym plakacie autorów, którym trzeba było zwrócić manuskrypt z adnotacją: „nie do druku”).

A ja, naiwna, myślałam, że przyniosłam czytelnikom jakiś „urobek” i że złożyłam dowody odporności psychicznej nie idąc ani razu do kina, póki nie zakończyłam pisanej pośpiesznie, odwołanej rozdział po rozdziale do „Czytelnika” książki. To zresztą drobiazg.

Nie byłoby sensu wracać do tych przewzy ciężonych objawów, ale nurtuje nas wszystkich pytanie, jaka powinna być nasza literatura i kultura polska? Zaściankowa? Narodowa? Powszechna?

Łódź na pewno jeszcze nie raz wejdzie komuś pod skórę. Warunek: dobrowolnie. Bo jest to miasto wielu bajecznie ciekawych sprzeczności, zderzeń środowisk pofabrykanckich z artystycznymi, filmowymi, robotniczymi, intelektualnymi z komicznie snobizującymi pod styl ex-arystokratów itp. Tylko nie wolno pchać żyłowi kamertonu w gardło, trzeba czekać. A wtedy nie czekano, ba! pokrzykiwano zdrowo, próbowano ponedzić nam stracha.

Nie tak dawno czytałam anons o konkursie literackim w Łodzi, co jest zawsze wielkim osiągnięciem, ale zaniepokoiły mnie słowa końcowe: „...na nieopublikowany utwór o tematyce łódzkiej!”.

A może to wina korekty? Może tym razem jednak interesują kogoś wiersze poświęcone problemom ludzkim i kreszeczki należy przestawić?

SEWERYNA SZMAGLEWSKA





Autorytety PRZYPOMNIANY

Z dwóch wybitnych satyryków rosyjskich dwudziestego wieku: Arkadiusza Awerczenki i Michała Zoszczenki...

Zoszczenko urodził się i zmarł w Kraju Awerczenko, ur. 6 marca 1884 r. w Sewastopolu...



utworów w ZSRR, co też uczyniono, ogłaszając w roku 1927 jego „Litrannye sochinenija” w Moskwie.

W okresie międzywojennym ukazało się w Polsce kilka zbiorów satyr i humoresek Awerczenki...

go, mógłby nie dostać żadnego. Blyskawicznie znikniecie „Humoresek” Awerczenki z księgarń dowodzi, że czytelnicy wiedzą, co dobre i że imię tego pisarza nie zostało zapomniane.

Jak przedstawia się obecny wybór? Jest on powtórzeniem wydanego w 1964 r. w Moskwie tomu „Humoreski steczeskie „asskazy”...

Arkadiusz Awerczenko z nieomylnym zmysłem satyryka „dobrał się” również do skłóty białej emigracji rosyjskiej...

je i innych spojrzeć krytycznie, ośmieszając nowe nawyki i stare narowy. Pobyt w Paryżu, Warszawie i Pradze...

Prezentowany w „Bibliotece Stańczyka” tom „Humoresek” obejmuje utwory z różnych lat i w różnych społeczeństwach...

KSIĄŻKI NADESLANE

- BIBLIOTEKA POETÓW 1936 ROK, W. Lit., cena zł 30.- Władysław Orkan - UTWORY DRAMATYCZNE, W. Lit., cena zł 70.- Jan Słoberski - WYŁAPUJE SZCZĘŚCIE Z POWIETRZA, W. Lit., cena zł 14.- Jan Drohojowski - MEKSYK BOGOW, KRZYŻA I DOŁARÓW, LSW, cena zł 20.-

TRZY PRZEOCZONE LISTY TUWIMA

Pojawienie się na półkach księgarskich obszernej korespondencji literackiej Juliana Tuwima okazało się niezawodnie doniosłym wydarzeniem kulturalnym...

List ten, ogłoszony w łódzkiej „Ilustrowanej Republice” 16 kwietnia 1930 r. (nr 105, s. 3), skierowany był pod adresem sędziwego filologa-slawisty i historyka kultury, Aleksandra Brücknera...

polskim znaleźć się powinna: jak świeży, z lupin obrany, przekrojony owoc podał nam Brückner w „Słowniku” polszczyzny barwną wonną, sokiem, oczekującą. Wzrost nie, ale olog, nie stęchy uczonej”...

SPEKTAKLE tygodnia

Table with columns for location (POLONIA, WŁOKNIARZ, Powszechny, Rozmaitości, Nowy, Nowy Mała Sala, Operetka, Teatr Ziemi Łódzkiej, 7.15, Filharmonia, Estrada), title, and percentage.

LESZEK ST. RUDNICKI OJ, IZABELLO!

Nieźmiernie rzadko, nie mniej zdarza się od czasu do czasu, że widz wychodzi z teatru z pewnym zamętem w głowie, niejako przeświadczony, że oto pokazano mu spektakl bez wątplenia interesujący...

bil jakoś ten sens ogólny. Reżyseria p. Ewy Bonackiej poszła raczej w kierunku swobodnej zabawy scenicznej wykorzystując, zresztą znakomicie, dostarczony przez autora materiał komediowy...

Podobała mi się, co podkreślam z całym zadowoleniem, scenografia H. Poulaina, w miarę prosta, potraktowana raczej funkcjonalnie. Tak więc w rezultacie otrzymaliśmy komedię lekką, interesującą, wciągającą od pierwszych chwil, choć to raczej zasługa autora...

lamy butwieć i ginać bezrobotnym księżką, przekazanym nam przez długie pokolenia? Jeżeli to cmentarz, to i cmentarzami, gdzie spoczywają szczątki zasłużonych dla kraju obywateli, opiekują się specjalne towarzystwa lub instytucje.

Istnieje wprawdzie zdawkowy a głupawy aforyzm: „Nie czas żałować róż, gdy lasy płoną”, na który łatwo powołać się w tych okrutnych czasach kryzysu, niedzi i bezrobocia. Ale zanim się porozumieemy, co w dziejach narodu jest lasem, a co różą, rzucam myśl stworzenia lańcucha pomocy dla Biblioteki Jagiellońskiej i składam na ten cel zł pięćset, zwracając się jednocześnie do: p. posła red. Mariana Dąbrowskiego („Il. Kur. Códz.”), p. dra red. Mieczysława Grydzewskiego („Wiadomości Literackie”), p. red. Konrada Olchowicza („Kurier Warszawski”), wydawn. „Republika” (Łódź), wydawn. „Gazeta Poranna” (Łwów), aby zechcieli laskawie kontynuować rozpoczęty lańcuch i pomnażać jego ognia za pomocą agitacji w swych pismach.

Trzeci list Tuwima, adresowany do ówczesnego wiceprezesa m. Łodzi, Antoniego Purtała, a ogłoszony w „Ilustrowanej Republice” 3 maja 1930 r. (nr 121, s. 6), powstał w związku z niemożnością przyjazdu Tuwima na wieczór autorski...

Wielce szanowny Panie! Z radością i wzruszeniem przeczytałem list Szanownego Pana. Jako syn Łodzi dumny jestem z pięknej inlektualnej młoci ziomków. Impreza ta i dobór uczestników jest dowodem, że cokolwiek by działo się pośród jednej ziemi i jednej mowy (ta powody tego podzielać mogą być rozmaite), to przecież są dni i sprawy, kiedy decyduje tylko to, co łączy i związuje. Dalszą literaturą tym i związkim jest najważniejszy cel: przysporzenie Rzeczypospolitej środków obrony.

Z wysokim poważaniem JULIAN TUWIM 1) Ojciec Tuwima, Izidor, zmarł 3 maja 1935 r. 2) Tytułu wiersza nie udało się ustalić.



Malcojne Zomer (Maloine) i Alicja Zomer (Izabella Angeller). Fot. Fr. Myszkowski



# Czarodziej Walt Disney

Umarł Walt Disney, legendarna postać Hollywoodu, twórca XX-wiecznego świata baśni. Jego nazwisko wiąże się z całą epoką w dziejach kinematografii. Odnosił się do niego wieloletnia wspaniała, bogata wyobraźnia. Był jednym z tych, którzy budowali potęgę i siłę amerykańskiej stolicy snów. Torował drogę filmowemu władztwu nad wyobraźnią i marzeniami milionów ludzi. Stworzone przez niego postaci myśliki Mickey, kaczkora Donald, złośliwego psa Pluto, trzech świnek weszły na zawsze do skarbicy naszych wyobrażeń, stały się częścią naszej świadomości. Znana bajka o królownie Śnieżce, utrwaliła się w naszej pamięci właśnie tak jak ją zobaczył Walt Disney. Dzięki niemu dzieci całego świata otrzymały te same bajki i tych samych bohaterów.

Walt Disney urodził się w 1901 r. w Chicago. Po ukończeniu studiów w Akademii Sztuk Pięknych został rysownikiem. Paral się głównie rysunkami reklamowymi i karykaturą. W filmie debutował w roku 1923, realizując przy pomocy swego brata Roya, pierwszą serię filmów rysunkowych, rozpoznawalnych poza normalną, komercyjną dystrybucją. Jego pierwszym filmikiem był „Cztery muzykanci z Bremy”. Już wtedy stworzył postać zajączka Oswalda i Alicję. Ale prawdziwą i powszechną sławę przyniosła mu myszka Mickey, która początkowo zwała się Mordmerem i dopiero w trzecim filmie tej serii „Steamboat Willie” przybrała ostatecznie imię Mickey. Dzięki niej Disney utrzymał swą pozycję w Hollywood i zaczął produkować na własny rachunek. Był rok 1928. Początek wielkiej ekspansji Disneya, początek jego ogromnej fortuny. Lata 1928—1938 przywykło się uważać za „złoty wiek” twórczości Disneya. Jego inwencja i fantazja zdawały się nie mieć granic. Wykorzystując wieloletnie tradycje europejskiej bajki stworzył obdarzone ludzkimi wadami i zaletami przezabawne i zarazem wzruszające postaci kaczorki Donald, psa Pluto, słonia Dumbo itd. Potrafił też znakomicie wykorzystywać doświadczenia i styl świetnych rysowników, jak chociażby Pała Sullivana Waltera Lantz, Uba Iwerkera, który został zresztą jego stałym współpracownikiem. Znał właściwą formułę filmu rysunkowego, łącząc poezję z dowcipem, satyrą, ze wzruszeniem. Jego rysunki odznaczały się ponadto dynamiczną strukturą. Jeden z pierwszych zaczął robić filmy kolorowe, wzbogacając tym ogromnie ekspresję swych postaci i gagów. Jeden z pierw-

szych potrafił wykorzystać w twórczy sposób dźwięki. Oryginalne i pomysłowe efekty dźwiękowe stanowiły istotny element konstruowanego przez niego świata. Piosenki z jego filmów komponowane głównie przez Franka Churchilla były szlagierami swoich czasów a niektóre z nich jak choćby piosenka o trzech świnkach lub „Hej ho! hej ho! do pracy by się szło” nabrały z czasem wartości piosenkowych przysłów, stały się popularnymi porzekadłami. W owych to latach obok wielu innych m. in. sławnych „Trzech świnek” tworzy Disney serie tzw. „Silly Symfonii” czyli pełnych fantazji i humoru baśni o zwierzętach, owadach itd. Ukoronowaniem „złotego okresu” była „Królewna Śnieżka” (1938 r.), odznaczona licznymi Oskarami, których zresztą Disney był rekordowym zdobywcą.

W latach 1938—48, ujętojny sława i sukcesami Disney zaczyna się trochę powtarzać. Krótki zarząca mu kaligrafizm i uleganie gustom niezbyt wybrednej publiczności. Jego filmy traci stopniowo świeżość i wdzięk, które stanowiły ich główne atuty. Taśmowa, wielkonrzemysłowa produkcja musi zniszczyć kruchość czar poezji. Zły smak i półświatła na łatwiznę zarzucano „Fantazji” (1940) wielkie mu filmy, którego poszczególne epizody stanowiły wizualną ilustrację słownych utworów muzycznych. Disney zastosował tu dźwięk stereofoniczny, zaangażował samego Leonolda Stokowskiego. Każdy epizod utrzymany został w innej konwencji plastycznej. W owych latach powstają m. in. „Saludo Amigos”, „Pieśń Południa” itd. Jednym z ciekawszych eksperymentów Disneya były pró-

by łączenia techniki rysunkowej z filmem aktorskim. W okresie wojny Disney realizuje dużo filmów o charakterze propagandowo-satyrycznym m. in. głośna „Twarz Führera” z Kaczorem Donaldem. Jego filmy wyświetlano żołnierzom na froncie. Twórczość Disneya miała zresztą w ogóle, nie tylko w związku z wojną, zacięcie moralizatorskie. Nieprzypadkowo na zrywano go „Ezopem XX wieku”. Podobnie jak dawni bajkopisarze chciał przy pomocy swych opowieści o zwierzętach ludziom podobnych, przekazać swym odbiorcom jakaś filozofię, zapewne nie najbliższą, jakąś nauką moralną. Tworzył bajki i baśnie.

W roku 1948 Disney porzucił realizację filmów i zajął się wyłącznie sprawami produkcyjnymi, poszerzeniem swego ogromnego królestwa. Rozpoczął wielki cykl filmów dokumentalnych o silnych akcentach widowiskowych. Cykl ten obejmował dwie serie: „Przygody z prawdziwego życia” (filmy o życiu zwierząt) oraz „Ludzie i miejsce” (filmy o zwyczajach i obyczajach różnych, często egzotycznych ludów). Cykl ten odznaczał się znakomitymi walorami dokumentalnymi, świetnymi zdjęciami, dowcipną, błyskotliwą formą. Reżyserem większości tych filmów był John Algar. Jednocześnie, od roku 1950, Disney podjął produkcję normalnych

filmów fabularnych, głównie przygodowych i przeznaczonych dla dziecięcej widowni. Jednym z szczytowych osiągnięć tej serii był głośny film „20 tysięcy mil podwodnej żegluga”, kłapiący od kapitalnych efektów widowiskowych. Na polskich ekranach, mieliśmy możliwość oglądać „Polowanie na lokomotywę”. Jednocześnie w dalszym ciągu powstają długometrażowe filmy rysunkowe m. in. „Kopciuszek” (1949), „Alicja w krainie czarów” (1951), „Przygody Piotrusia Pana” (1952), „Zakochany kundel” itd.

W r. 1955 Disney buduje Disneyland — cudowne królestwo spełnionych dziecięcych marzeń, snów na jawie. Wszystkie cuda filmowej geny znalazły tu swój racjonalny, dotykający kształt. Wszystkie rekwizyty filmowej baśni zostały udoskonalone szarym śmiertelnikiem. Niezależnie od ewentualnych zastrzeżeń natury artystycznej, trzeba bezspornie uznać, że Disney stworzył swój odrębny poetycki świat i potrafił go narzucić dziecięcej wyobraźni. Nie ma dziś na świecie dziecka, któremu obce by były zrodzone z jego fantazji i przebogatej inwencji postaci, obok Andersena, braci Grimm itd.

Walt Disney należy do grona czarodziejów bajkowego królestwa.

## KRONIKA

# Antytelewizyjna

### SPRAWOZDAWCZE OKRUCHY

Życie przed i między światłami oraz w czasie światła bywa mile i emocjonujące, ale w wielu wypadkach chaotyczne, czujemy się takby wyrzuceni z zawiasów. Doznajemy ulgi na myśl, że po Nowym Roku znowu wszystko potoczy się normalnie, mniej okolicznościowo. Chaos więc wkradł się i do porządku sprawozdawczego, chaos i półżegl. Jeszcze ten felieton także trzeba napisać wcześniej niż zwykle. Muszę tedy ograniczyć się do paru pozycji programowych nie z jednego tygodnia.

Refleksje na temat specyfiki telewizyjnej obudziły się we mnie po obejrzeniu „Antygony” Sofoklesa. Ta specyfika to sprawa wcale dyskusyjna, część chodzi o nasze osobiste wyczuwanie i o obiektywne, sprawdzalne ustalenia. Oto grudniowy numer „Miesięcznika literackiego” przyniósł wypowiedzi fachowców dotyczące filmu telewizyjnego. Żaluje, że nie mogą tych głosów dokładniej zreferować. W każdym bądź razie jedni uważają, że istnieje odrębność w budowaniu takich filmów, drudzy gotowi są twierdzić, że to właśnie złudzenie. Opowiedziałbym się po stronie tych pierwszych. I dlatego „Antygona” moim skromnym zdaniem nie udala się. To teatr monumentalny z chórami, teatr wielkiego i przejmującego potosu, wymagający przestrzeni. „Antygona” kameralna nie przemawia do wyobraźni, jakoś się pospolituje, a jest to przecież tragedia, do której symboliki chętnie i ze zrozumiałych względów nieraz wracano, ostatecznie po nocy wojenno-okupacyjnej. Piękny szkic poświęcił „Antygoni” Ludwik Hieronim Morstin w „Opowieściach o ludziach i zdarzeniach”. Opisuje on głębokie wzruszenie, jakie towarzyszyło widzom krakowskiego przedstawienia „Antygony” w 1943 roku, przytacza swój prolog, z którego należy przypomnieć zakończenie:

Włec staniesz, grecko  
męczennico,  
w męczennic polskich licznych  
tłumie  
Przez góry, morza i stulecia  
tęży okrzyk buntu do nich  
leciał,  
grom jasny na martwotę  
sumień,  
co boskich nie uznają praw,  
w walce o wszystko, co nam  
drogie,  
przez wszechmocność żar i ogień  
dziś po raz wtóry ludzkość  
zbaw...

Czy jest możliwa „Antygona” kameralna, pomniejszona? Zapewne tak. Jednak ujrzała przez nas — zawiodła. Pola Raksa, dysponowała wprawdzie warunkami zewnętrznymi, ale nie służył jej nawet głos. Gustaw Holoubek w roli Kreona nie stworzył kreacji przekonującej, może właśnie nie miał odpowiednich partnerów. Nie udat się Tyrejasz czyli Tejrezjasz, ślepy wieciez z Teb, który wieciez dar i życie siedem razy głusze od zwykłego zawodziecał Zeusowi.

Jednak trzeba się liczyć ze specyfiką! Jeśli chodzi o program świąteczny, to był przygotowany starannie, co kiedy zawiadła technika, fenomen nieraz o znamionach nadprzyrodzonych.

W drugi dzień świąt oglądaliśmy niezbyt udane filmy rodzime, współczując Poznaniowi i Katowicom, że spadł na te mile miasta obowiązek zapchałdzior programowych. Wolno miemnie, że warszawacy czuli się przed telewizorami o wiele lepiej.

Widowisko Ernesta Brylla „Oj Ostrowi świeci gwiazda” było chwila nudnawą, pozbawioną spieć, zaś Wojciech Siemion irytował swoim od dawna takim samym sposobem interpretowania „chłopków”. Bryll wpadł w schemat, może po prostu za często opracowuje tego rodzaju widowiska. Sam je kiedyś chwaliłem. Nie rozumiem, czemu utalentowanego pisarza obciąża się nadmiernie, czyż to nie ma innych ludzi? „Weselo Fonia”, mimo sławnych zabiegów, za bardzo czuć było naftaliną. Może

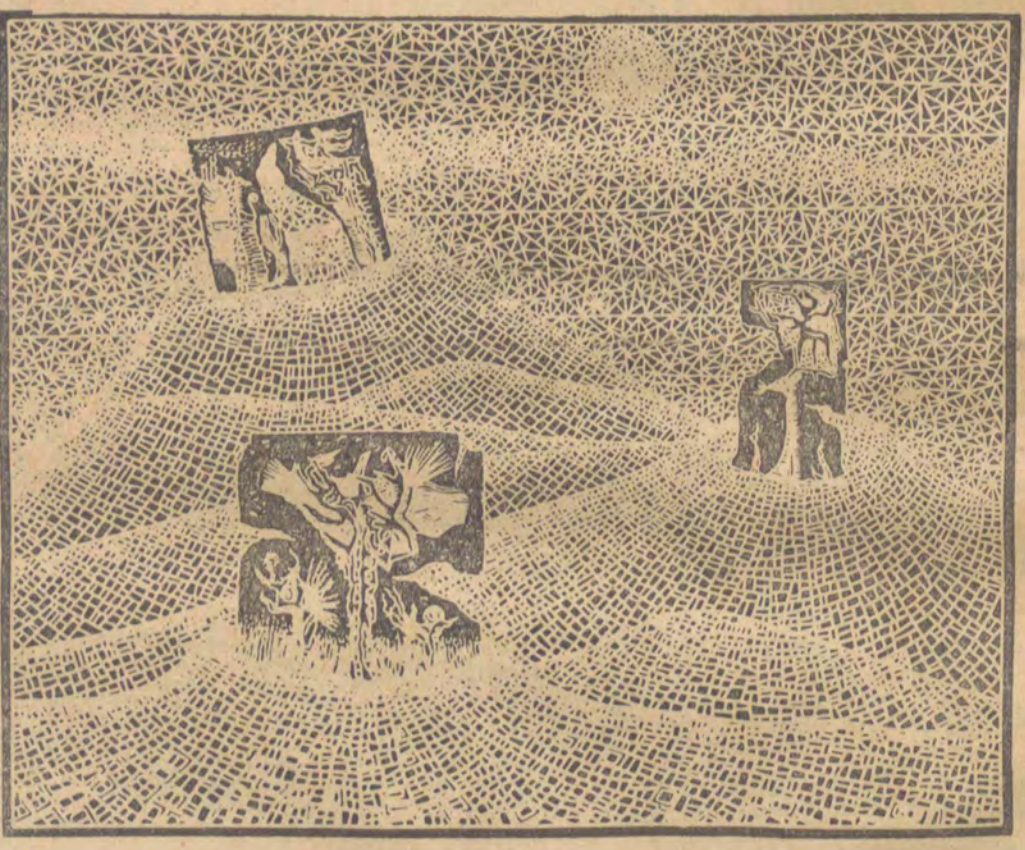


to zabrzmi cokolwiek niepoważnie, ale ze szczególnym uznaniem słucham rozmów „Tele-Echa”, prowadzonych przez Irenę Dziedzic, Kunstz konwersacji, oto co urzeka, gdyż nieczęsto z tym się stykamy. Szczyt osiągnięto w rozmowie Ireny Dziedzic z jubilattem Jerzym Zawieskim, ostatnio autorem znakomitej powieści „Wawrzyni i cyprysy”. Grzeczność i dusery, dowcipy, riposty, przekomarzanie się. Chciałem wolać: „Ach, to może ostatni patrzcie, patrzcie młodzi, Może ostatni, co tak poloneza wodził!” Jak mło, gdy czasem dobierają się partnerzy konwersacji towarzyskiej!

*Jan Hussaczi*

PS. czyli prośba do Dyrektora PSS. Plac przy ul. Mickiewicza 4 stał się od kilku miesięcy placem budowy. Oczywiście, pewne halasy są w takim wypadku koniecznością, sąsiadzi z okolicznych domów muszą to jakoś znosić, licząc na piękny w przyszłości magazyn. Gdy jednak co noc na plac wypuszczają się intensywnie szekające pieski, to już niewątpliwie nadwyżkę sytuacji. Niektóre łódkie zakłady, zamówiły telefoniczne budzenie swoich dozorców, i to jest słuszne. W ten sposób unika się budzenia mieszkańców okolicznych domów. To jest tym bardziej słuszne.

J. H.



H. Płóciennik — Grafika, Fot. A. Idziński

## O FILMACH DOBRZE I ŹLE

Grupa turystów z Niemieckiej Republiki Federalnej objeżdża swym autokarem Jugosławię. Wycieczka zbliża się już ku końcowi, kiedy przypadek zgłotuje im bardzo niemila niespodzianka. Niemiecy goście zabłądzili wskutek objazdu i gdy kończy im się benzyna, trafiają do niewielkiej górskiej wioski. Dziwna to wieś. Oprócz dwóch mężczyzn, z których jeden jest księdzem, zamieszkuje ją same kobiety. Przyjmują turystów z niesłychaną wrogością. To pierwsi Niemcy, którzy trafili tutaj po wojnie. Ich umundurowani poprzednicy nie przyjeżdżali z beztroskim śmiechem, nie prosili grzecznie o chleb i o nocleg. W akcji „pacyfikacji” terenu najlepszymi metodami i argumentami były kule karabinów — przemoc, terror i śmierć. W tamtych to czasach partyzanci zabili jednego z niemieckich żołnierzy. W odpowiedzi

na to Niemcy wymordowali wszystkich mężczyzn z wioski — przeszło pięćdziesięciu zakładników. Egzekucja odbyła się pokazowo — żeby zastraszyć mieszkańców pacyfikowanych terenów, żeby odurzyć ich bunt przeciwko gromańskim nadludziom. Żony, matki, siostry musiały przysięgać, że jak zabijano im mężów, synów, braci. Kiedy te same kobiety spoglądają po latach na niemieckich przybyszów, gdy słyszą nienawistną im mowę, odywają stare urazy, zabiłione „rany” zaczynają boleć na nowo. Na nie nie przydadzą się perswazyje i zapewnienia o przyjaźni. Jest tylko jedno wyjście z sytuacji: natychmiast odjechać. Ale to właśnie jest niemożliwe. Dopóki znany księżo nie sprowadzi z najbliższej stacji benzynowej pomocy technicznej, autokar jest przymusowo unieruchomiony. Turystki czekają, a pomoc nie przy-

bywa. Jawną niechęć wieśniaczek potęguje się tymczasem coraz bardziej przerażając się w końcu w formy otwartej walki. A wtedy i goście przypominają sobie „tamte” czasy — radzą nad sposobami obrony. I nagle łagodni, spokojni członkowie niewielkiego chóru ujawniają zupełnie nowe, starannie ukrywane oblicze i przeszłość. Jowialnym mieszczuchom wyrastają pazury dawnych hitlerowskich bestii. W obliczu zagrożenia demaskują siebie i innych. Tym samym dochodzi do ostrych starć i konfliktów w ich małej grupie. W wycieczce uczestniczy bowiem także dziennikarz i fotoreporter — przedstawiciele nowego pokolenia, które sama data urodzenia uchroniła od takiego bagażu przeszłości. Nade wszystko jednak różni się tych dwoje od swych starszych kolegów — przekonania, postawa etyczna. Oby-

im jest klasny nacjonalizm i płynąca zeń nienawiść do nieprzyjaciół mieszkanki włoski. W ludzki sposób zrozumiał po prostu motywy postępowania nieszczęśliwych kobiet. W tym rozumieniu mieści się jednocześnie potępienie tego, co zdarzyło się tu przed laty. W imię humanitaryzmu, w imię ludzkiego traktowania człowieka bez względu na narodowość i polityczne przekonania. Oto w skrócie problematyka i zarys konfliktów niemiecko-jugosłowiańskiego filmu „MESKI PIKNIK”. Jak łatwo można przewidzieć, reżyser Wolfgang Stauder spotkał się z bardzo ostrą oceną i zarzutami zachodniemieckiej krytyki. Doszło nawet do szykan: „Meski piknik” wycofano z festiwalu w Cannes oraz pominięto w oficjalnym komunikacie o wynikach festiwalu w Ber-

## O FILMACH DOBRZE I ŹLE

linie zachodnim, gdzie film ten otrzymał przed dwoma laty wyróżnienie FIPRESCI. Nie sposób nie wspomnieć tu o naszym polskim „Bumerangu”, który podjął problematykę z tego samego kręgu, tyle że przedstawiona na gruncie polskim. Niezmiernie to przykre dla nas porównanie. „Meski piknik” znakomity w ukazywaniu rysów obyczajowych grup bohaterów, doskonałe budujący dramatyczność sytuacji i ekspresję filmową, szczęśliwie unikający wszelkich mielizn sztucznego moralizatorstwa i „dretwej” (choćby nawet słusznej) mowy jest godnym naśladowania przykładem, jak można robić takie filmy, angażujące się w dyskusję o ważnych problemach politycznych i ideowych naszych czasów. „Bumerang” jest nie-

Okazją do dobrej rozrywki jest francusko-niemiecko-włoska komedia kryminalna „ARCYLOKAJ”. Zgrabnie wyreżyserowana przez Jean De-

mowi. To właśnie jego postać pełna lokalnej godności i opanowania, jego maska twarzy — niewzruszona, nieprzenikniona, pełna wyrozumiałości i poczucia własnej wyższości wobec spraw i ludzi tego świata; ta nie zmieniająca się ani na chwilę postawa i oblicze, w sytuacjach nawet najbardziej niezwykłych, dziwnych i

wielce różnorodnych — najlepiej bawi widza. Fabuła filmu obfituje w zdarzenia eksponujące postać i talent Meurisse'a. Zresztą komizm sytuacji odgrywa tutaj również niepoślednią rolę. Humor „Arcylokaja” należy bowiem do gatunku zwanego popularnie „czarnym”, a więc tego, którego tak bardzo upodobał sobie i do-

prowadzili do mistrzostwa Anglii. Francuzi nader szczęśliwie pozostawili sukcesów Brytyjczykom i potrafili zdobyć się na pełną wdzięk rywalizację. „Arcylokaja” łączy w sobie dwie ważne zalety: dobrej komedii i interesującego kryminała. Definicja komediowego zdarzenia usprawiedliwia i tłumaczy pewną banal-

ność wątków kryminalnych. Wszystko jest tu nieco absurdalne w imię dobrej zabawy, której wodziresem jest świetny Paul Meurisse. I bawimy się faktycznie doskonale.

MARIABEL



Kto, co, kiedy?

relacje niedyskrecje



Degas: „Kąpiel”

DEGAS, Renoir, Nieznani

Pod takim tytułem ukazał się w paryskim wydawnictwie „Cercle d'Art” album zawierający po raz pierwszy reprodukowane, niektóre z dzieł Degasa i Renoira.

Dzieła te znajdują się w Jugostawii, a były własnością kolekcjonera obrazów Erica Slomowica. Pismo francuskie „L'Humanite” podaje interesującą historię tej kolekcji. Otóż Eric Slomovic był wielkim miłośnikiem sztuki, a choć nie posiadał odpowiednich środków finansowych zgromadził u siebie arcydzieła, które zamierzał następnie przekazać swemu rodzinemu miastu, Belgradowi.

Gdy wybuchła wojna kolekcjoner zabezpieczył swoje cenne zbiory, aby nie wpadły one w ręce

okupanta. Nie zdołał jednak sam się uchronić przed przesładowaniami jakie Niemcy stosowali wobec ludności pochodzenia żydowskiego. Slomovic, który ukrywał się w jednej z serbskich wsi, został aresztowany przez hitlerowców i rozstrzelany.

Cenna kolekcja obrazów zgodnie z życzeniem jej właściciela znajduje się obecnie w muzeum w Belgradzie.

Album wydany przez „Cercle d'Art” prezentuje siedemdziesiąt cztery barwne reprodukcje o formacie 24x32 cm.

ALBERTYNA SARRAZIN PISZE NOWĄ KSIĄŻKĘ

Prawie rok temu pisaliśmy o ukazaniu się we Francji dwóch książek Albertyny Sarrazin („L'Astragale” i „La Cavale”), które stały się niemal sensacją w życiu literackim. Ich treścią były przeżycia samej autorki. Mała, ładna, dwudziestoletnia Sarrazin jest córką piętnastoletniej Hiszpanki i Araba. Nie pamięta swych rodziców, gdyż we wczesnym dzieciństwie została adoptowana przez francuskiego lekarza wojskowego i jego żonę. Mając lat kilkanaście Albertyna ucieka od przybranych rodziców, częściowo pracuje, częściowo kradnie, dokonuje napadów, czasem nawet z bronią w ręku.

Dostaje się do domu poprawczego, a następnie do więzienia. Ucieka stamtąd i spotyka człowieka, który się nią troskliwie opiekuje. Po między owym mężczyzną, a Albertyną wywiązuje się miłość. Ow opiekun jak się okazuje jest włamywaczem. Teraz oboje dokonują przestępstw i wędrują następnie do więzienia, gdzie podczas odsiadki Albertyna biera ślub. Albertyna w więzieniu kształci się i pisze książki.

Po odsiedzeniu wyroku oboje małżonkowie zaczynają prowadzić unormowane życie. On pracuje jako geolog, ona pisze. Obecnie Albertyna Sarrazin kończy swoją trzecią powieść. Znowu jest to utwór oparty na materiale autobiograficznym, gdyż autorka, jak dotąd, nie może wyjść w swym piśmiemstwie poza krąg własnych, autentycznych doświadczeń. Tym razem Albertyna opisuje swoje wczesne dzieciństwo, opowiada o swej przybranej matce, mówi o pierwszych pracach zarobkowych i pierwszych kradzieżach. Bohaterka powieści stwierdza, że nie pociągła ją praca. „Byłam złodziejka — mówi — i chciałam zostać piśmakiem”.

Cocard nie żartował. Jak się okazało może on już dziś wykonać nie 10, ani 100, ale 250 idealnych kopii obrazu i to tak dokładnych, że nie odróżniają się od oryginału. Bowiem chemik André Cocard wynalazł proces, który pozwala na wielokrotnienie dzieła sztuki. Metodę tę nazwał on kamografią. Ma ona, niestety, jedną zasadniczą wadę. Kamografia nie może reprodukować dzieł z przeszłości. Malarz, który zgadza się na „rozmnóżenie” swego dzieła w ilości 250 egzemplarzy, musi być przygotowany na to, że oryginał obrazu ulegnie zniszczeniu. Artysta maluje na specjalnym płótnie umieszczonym na urządzeniu przygotowanym przez Cocarda. Zasadą i szczegółami urządzenia są jeszcze tajemnicą.

W SIÓDMĄ ROCZNICĘ ŚMIERCI GERARDA PHILIPPE'A

W siódmą rocznicę śmierci Gerarda Philippe'a prasa i radio francuskie przypominały dokonania znakomitego aktora. Wi-



dzowie zaś mają możliwość podziwiania jego znakomych kreacji aktorskich w wyświetlanych wciąż filmach takich jak „Fanfan Tulipan”, „Piekne ności nocy” czy „Czerwone i czarne”. Dla młodych aktorów Gerard Philippe jest wzorem do naśladowania i źródłem inspiracji.

KAMOGRAFIA — REWELACJA W DZIEDZINIE UPOWSZECHNIENIA SZTUKI

Trzy lata temu paryski kupiec obrazów Raymond Nidrécourt gościł u siebie swego przyjaciela, znakomitego chemika André Cocarda. Oglądali właśnie jakąś obraz o wartości 10.000 franków. „Za drogi dla mnie — powiedział Cocard. Ale gdybym znalazł sposób na wykonanie go w dziesięciu egzemplarzach?” Nidrécourt potraktował to powiedzenie jako żart. „Gdyby udało się mieć go w stu egzemplarzach byłoby jeszcze lepiej” — powiedział śmiejąc się.

Kamografia, gdyby okazała się łatwą do stosowania powszechnego byłaby odkryciem umożliwiający odbiór masowy dzieła artystycznego i pozwoliłaby na zastosowanie sztuki do naszej cywilizacji. Kamografia z pewnością wnie sie nowe elementy do kolekcjonerstwa obrazów. W wypadku tej rozpowszechnienia zniknie typ kolekcjonera-pozukiwacza opanowanego żądzą zdobycia jakiegoś obrazu unikatku.

Cocard niech świadczy fakt, że dzieło Maxa Ernsta „Statek widmo” wykonany metodą kamografii kosztuje 1.300 do 2.500 franków, bez tego płótno kosztowałoby więcej niż milion.

Kamografia, gdyby okazała się łatwą do stosowania powszechnego byłaby odkryciem umożliwiający odbiór masowy dzieła artystycznego i pozwoliłaby na zastosowanie sztuki do naszej cywilizacji. Kamografia z pewnością wnie sie nowe elementy do kolekcjonerstwa obrazów. W wypadku tej rozpowszechnienia zniknie typ kolekcjonera-pozukiwacza opanowanego żądzą zdobycia jakiegoś obrazu unikatku.

„PCHA W UCHU” W HOLLYWOOD

Georges Feydeau (1862-1921) był komediopisarzem, którego farsy przez blisko lat trzydzieści rozśmieszały publiczność paryską. Posiadał lekkie pióro i umiejętności wyszukiwania oryginalnych pomysłów, przedstawiania zabawnych sytuacji i nieoczekiwanych kul pro que. Do najbardziej znanych, jednoaktowych komedii

„Hotel wolny wymiany”, „Dama od Maksyma”, „Zajmij się Amelią”, „Dzidziuś dostaje na przeczyszczenie”.

Feydeau następnie prawie zapomniany ostatnio znowu przeżywa swój renesans. Jego sztuka „Pcha w uchu” grana niedawno w Londynie zainteresowała się Hollywood. Został tam zaproponowany angielski powieściopisarz, dramaturg i scenarzysta John Mortimer dla dokonania adaptacji sztuki dla filmu. Równocześnie Darryl Zanuck prezes Twentieth Century Fox zaangażował reżysera Komedi Francuskiej, Jacques Charona dla zrealizowania w Hollywood trzech filmów, z których pierwszym ma być właśnie „Pcha w uchu”. Film będzie miał tytuł „A Flea in Her Ear”.

SUKCES FILMU „WOJNA I POKÓJ” W JAPONII

Japońskie ministerstwo oświaty oceniło film „Wojna i pokój” jako najlepszy ze wszystkich filmów zagranicznych wyświetlanych w Japonii w roku 1966.

„ANTYAGONA” SFILMOWANA W SWEJ OJCZYZNIE

Sztuka Sofoklesa „Antyгона” przeniesiona na ekran, po dwudziestu czterech wiekach od jej napisania wzru-

szą i budzi zainteresowanie licznych widzów. Film ten został wyświetlony jako pierwszy z okazji tygodnia filmu greckiego w Moskwie, spotykając się z uznaniem krytyki i miłośników filmu.



WIECZÓR SIENKIEWICZOWSKI W WIEDENSKIEJ „STRZESZE”

Związek Polaków w Austrii „Strzecha”, zorganizował w związku z Rokiem Sienkiewicza wieczór poświęcony autorowi „Quo Vadis”. Na uroczystość złożyło się przedstawienie biografii pisarza oraz recytacje fragmentów jego książek. Z dzieł H. Sienkiewicza czytali: L. Niemczyk, Marian Jurek i Sylwester Makowski — członkowie wiedeńskiej „Strzechy”.

Również grudniowy biuletyn Związku Polaków w Austrii przynosił materiały poświęcone Sienkiewiczowi.

STAFF PO FRANCUSKU

Poeci i tłumacz, Allan Kosko, przygotował do druku tom złożony z 70 wierszy Leopolda Staffa po francusku. Warto przy okazji przypomnieć, że Staff był tłumaczem na język polski pismanych po francusku utworów Słowackiego (fragment poematu o Paryżu i fragment powieści „Król Ladawa”), był też Staff, kandydatem polskiego PEN-klubu do nagrody Nobla, (W. NJ)

„NOUVELLES LITTERAIRES” O SIENKIEWICZU

Sledzący uważnie polskie aktualności tygodnik paryski „Nouvelles Litteraires”, zamieścił w Roku Sienkiewicza interesujący artykuł Stanisława Kocika „Relisez Quo Vadis” (Odczytajmy na nowo Quo Vadis), w numerze z 17 listopada ub. r. Artykuł Kocika dotyczy nie tylko tej powieści (jak mogłoby wynikać z tytułu), ale i całej twórczości Sienkiewicza. Autor, mimo pewnych krytycznych uwag, uznaje jednak poważną część owej twórczości za bardzo dziś interesującą, szczególnie „W pustyni i w puszczy”, nowele młodzieńcze, styl „Trylogii” oraz właśnie „Quo Vadis”. Postacie Sienkiewicza uznaje Kocik za część składową „Opowieści Tysiąca i Jednej Nocy cywilizacji zachodniej”, na równi z bohaterami „Salambo” Flauberta, „Robinsona Krusoe” i powieści Kiplinga.

Tłumaczenia utworów Sienkiewicza, szczególnie nowel oraz „W pustyni i w puszczy” zostały we Francji spopularyzowane przez „Revue Blanche”, a niedawno Montherlant poświęcił dwa przenikliwe eseje analizie „Quo Vadis”. Nowe wydanie tej powieści ukazało się obecnie na rynku francuskim.

POLONICA

Notatnik KULTURALNY

NIEDZIELA Zgodnie z przepowiednią „Odgłosów” prasa donosiła, że święta minęły w Łodzi spokojnie, my więc spokojnie możemy powrócić do powiatkowej rzeczywistości i normalnych zajęć. Ponieważ przerwa w naszej rubryce była dość długa, a wydarzenia toczą się nieprzerwanie, darujemy czytelnicy, że tradycyjnie będzie tym razem całkowicie symboliczny.

PONIEDZIAŁEK Od pewnego czasu wszystkie niemal drogi kulturalnej Łodzi prowadzą do Teatru Wielkiego, którego otwarcie nastąpi 19 stycznia, w rocznicę wyzwolenia Łodzi. Długomy na ten dzień czekał, bo długo, ale za to sukces budowniczych jest pełny. Przede wszystkim zdłga egzamin akustyka. Słyszalność jest znakomita, widoczność zresztą również

WTOREK Drzewo genealogiczne otwiera Piotr Oszyk Sienkiewicz, herbu Łabędź, pułkownik wojsk polskich, ur. w 1889 r. Potem drzewo bardzo się bujnie rozgala, a na jego szczytach znajdujemy Henryka Sienkiewicza. Tablica pochodzi z książki „Henryk Sienkiewicz i ród jego” napisanej przez S. Bolesława Kozłowskiego, a wydanej w 1917 r. Książka zaś znajduje się na wystawie zorganizowanej przez Bibliotekę Uniwersytetu Łódzkiego (w jej gmachu) na zakończenie Roku Sienkiewiczowskiego, a poświęconej życiu i twórczości pisarza. Więcej o takich rarytasach wydawniczych i białych krukach jak wyżej wymieniony, w dziale „cykle i działalność” — publikacje biograficzne, bogaty zestaw zdjęć i fotokopii z życia rodzinnego, pierwsza publikacja Sienkiewicza, ba, nawet własnoręcznie narysowana kalendarza Łódzka w latach 1917-1918. Twórcząca Sienkiewiczowa w badaniach naukowych — to drugi dział. Tu rozprawy naukowe, prace badawcze

eseje, fotokopie rękopisów, ilustracje. Stachiewicz do „Quo vadis”. Dział obrony zainteresowanie Sienkiewiczem za granicą jeszcze raz przypomina jak bardzo to międzynarodowy wy pisarz. Przekłady rosyjskie, angielskie, francuskie, włoskie, czeskie, niemieckie... Przypomniało mi to moje osobiste przeżycia w Jugosławii, gdzie Polaków „zaginają” na znajomość Trylogii. Oni umięją ją prawie na pamięć. Te wystawy warto zobaczyć. Będzie czynna do 15 stycznia.

ŚRODA Filharmonia Łódzka przy żywa ostatnio pasję sławnych Polek i to takich, które w kraju trudno spotkać, bo występują za granicą. Przed świętami wystąpiła tu Wanda Witkowska, której koncert urozmaicozony był, czy też jeśli kto woli — zaklęty koncert życia i twórczości pisarza. Więcej o takich rarytasach wydawniczych i białych krukach jak wyżej wymieniony, w dziale „cykle i działalność” — publikacje biograficzne, bogaty zestaw zdjęć i fotokopii z życia rodzinnego, pierwsza publikacja Sienkiewicza, ba, nawet własnoręcznie narysowana kalendarza Łódzka w latach 1917-1918. Twórcząca Sienkiewiczowa w badaniach naukowych — to drugi dział. Tu rozprawy naukowe, prace badawcze

W czwartym otwarciu po długotrwałym remoncie Muzeum Sztuki zorganizowało tydzień imprez popularnych swą ekspozycję. Na wszystkich imprezach było tłoczno, ale szczególnie powodzeniem cieszyły się dwie: koncert kameralnej orkiestry „Pro musice” w salach gotyku, nastrojuj, przy świecach oraz dzień fotografii. Miało to być dla działu oświatowego Muzeum pewien sondaż gustów publiczności. I co się okazało? Malarsstwo polskie XVIII i XIX wieku (24 zdjęcia) cieszyło się prawie takim samym powodzeniem jak sztuka nowoczesna (23 zdjęcia). Reszta (18 osób) wybrała malarsstwo obce, głównie gotyckie. Okazało się przy tym, że sztuka nowoczesna jest bardzo fotogeniczna. Zdjęcia przy Nobie Hasióra, Corridzie Aliny Szapocznikow, czy Plecie Pronaszk

wypadły znakomicie. Dział oświatowy Muzeum wyniósł z tego doświadczenia mniemanie, że rodzina mają wiele dobrego gustu.

PIĄTEK Pierwszy rząd społecznych opiekunów zabytków Łodzi, działających przy społecznej komisji opiekunów zabytków PTT-K, przyniósł sporo interesującego materiału do rozważań o ochronie zabytkowych budowli w naszym mieście. Dyskutowano wiele tematów i będziemy do nich wracać, dziś chciałabym optymistycznie wspomnieć o gospodarzach — którym są szkoły muzyczne. Trzy łódzkie szkoły muzyczne zajmują dwa zabytkowe pałacyki: Państwowa Szkoła Muzyczna przy Pl. Zwycięstwa 1, a Wyższa Szkoła Muzyczna oraz Średnia Szkoła Muzyczna — u zbiegu Gdańskiej i Al. 1 Maja. Ta pierwsza otwarcie wystawy starzech i udostępnienie jej oraz całego gmachu zwiędziającym Łódź turystom. Budynek ten znajduje się pod opieką troskliwych gospodarzy, dbających o powierzone im dobro. Tak samo zresztą jak i pałacyk przy ul. Gdańskiej, gdzie dyrektor WSM, p. Iwaszkiewicz jest jedynym w Łodzi dyrektorem, który z własnej inicjatywy prze-

prowadził ewidencję rucho mych zabytków znajdujących się w budynku szkolnym. Niedawno w piwnicy gmachu znalazłono stare kraty, które zostały dopasowane do drzwi. Ale to drobiazgi wobec tego, że dyr. Iwaszkiewicz przed paru laty w składnicy zlozono odnalazł kraty, narucaje do drzwi szkolnych i umieścił je tam. Oby takich gospodarzy więcej.

SOBOTA Łódzka plastyka odniosła jeszcze jeden sukces. Janusz Wiktorowski, absolwent łódzkiej Wyższej Szkoły Sztuk Plastycznych, która ukończył w ubiegłym roku, zdobył I nagrodę w ogólnopolskim konkursie na plakaty, ogłoszonym z okazji 90 rocznicy Wielkiej Socjalistycznej Rewolucji Październikowej. Na konkurs wpłynęło 153 prace, z całego kraju, a więc konkurencja była duża. J. Wiktorowski jest obecnie grafikiem Opery Łódzkiej. Jego praca wraz z innymi nagrodzonymi będzie eksponowana na wystawie światowego plakatu rewolucyjnego w Warszawie.

Z innych wydarzeń plastycznych odnotować należy otwarcie w foyer Teatru Nowego ekspozycji II Ogólnopolskiego Biennale Grafiki, zawierającej wiele interesujących pozycji.



# Fotografia TRAGEDII

Na wprost wypełnionej tu mem sali — podium, za nim sędzia, w pełnym majestacie prawa, no obu jego stronach ławnicy — starsza kobieta i młody mężczyzna. Z lewej strony stołu zagłębiony w ogromny fotel — prokurator z prawej protokolant. Na ścianie za stołem gipsowy odlew orla. Blżej sali barierka dla świadków, po jej lewej stronie, przy stole zasiadających, uważnych trzech biegłych lekarzy.

Na wprost nich za drewnianą balustradą między milicjantami dwójka ludzi. Łysy, średniego wzrostu mężczyzna w szarej marynarce i kobieta w czarnej chusteczce na głowie, w kolorowym pasiaku. Jej twarz jest nieporuszona, kamienna, obojętna. Mężczyzna położył rękę na barku. Twarz ma spokojną, ale ręce drżą. To ława oskarżonych. Przed sądem mała, drobna, w kwieiste chusteczce na głowie, niebieskim paletku 9-letnia dziewczynka. Jak ciężkie gzyz ją padają jej słowa w cisze sali:

— On mi zabił tatula — mówi poprzez łkanie, pokazując małym paluszkim na mężczyznę w szarej marynarce. Na sali rozlega się szmer oburzenia i współczucia. Człowiek siedzący między milicjantami kurczy się, spuszcza głowę. To prawda. Ten człowiek nazywa się Piotr Botul, mieszka, a raczej mieszkał w Głuchowie pow. Skierniewice.

Głuchów leży na skrzyżowaniu dróg. Stąd 13 km do Rawy Mazowieckiej; 20 do Skierniewic, 25 do Brzeżin. Wiesz ciągnie się wzdłuż asfaltowej drogi, Gospoda, GRN, dwa czy trzy sklepy, posterunek milicji czynny od 9 do 11 i od 16 do 18, nowa strażnica OSP, świetlica. Między chałupami rozciąga się łąki. Wiesz zelektryfikowana. W Głuchowie mamy możliwość przyjąć się barwnym strojem ludowym. Świadczą one o dawnej przynależności wsi do dóbr towarzyskich. Zwracamy również uwagę na klasycystyczny plebanie z 1824 roku i barokową dzwonnica z XVIII wieku.

Urozmaicony krajobraz (...) Znajdujemy się bowiem w strefie pagórkowej, między dolinami. Ku północy spły-

wa Lupa i jej dopływy. Na południe teren opada ku rów niozłazkowej dolinie Rawki, która na tym odcinku wygląda malowniczo (...). Widzimy znane i pospolite w tej części Polski piaski i żwirzy warstwowo. Na powierzchni, jak zresztą wszędzie w okolicach Łodzi, znajdujemy duże kamienie ze śladami wygładzeń przez wiatr, tzw. granitaków. Mówią one o istnieniu na tym obszarze ziemnej pustyni w okresie lodowcowym. Nie zastarzały się zdania z przewodnika turystycznego „Województwo łódzkie” wydanego przed 12 laty. Droga idą kobietę w kolorowych pasiaku, wielobarwne spódnice, gdzie wstąpił czerwonego nasiadują z zielonym i granatowym, w narzutach brązowych lub opatuchane wełnianymi chustkami w kratę. Na linii horyzontu rząd wysokich drzew. To tam. Jest potem zagajnik sosnowy i wąska ścieżka wchodzi się w sad. To tu.

Miejsce tragedii. Na uboczny za wsi gospodarstwo Piotra Botula. Z sadu wychodzi się na obszerne obejście. Z prawej strony bieleje mur nowego budynku. Pół tego nowego budynku to obórka, druga połowa — mieszkanie. Na wprost stodoła, stara, ale solidna. Na wrotach napis „paleńce wzbudzone”. Po lewej stronie „stoi budynek mieszkalny, kryty stoma, którego ściany od strony południowej są drewniane, a od strony północnej murowane. Budynek ten jest bardzo zniszczony. W szczycie budynku od strony południowej znajduje się jedno okno” — tak opisano tło tragedii, owa zmurowana chałupa, w której mieszkał Botulowie i Kaczorowski w miliwinym protokole oględzin. Pod tą strzechą zamieszkała z nimi niezgoda. Reżyser tego dramatu, Pręciły białe beret zobaczyłem na sędziowskim stole. Z zeznań świadków z pytań i odpowiedzi, jak z kłódek łamięłki, ułożył się obraz tragicznego dnia i zdarzeń ten dzień poprzedzających.

Przed pięciu laty słońce gospodarstwo Antoniego Kaczorowskiego. Sześcioosobowa rodzina została bez gospodarza nad głowa. Ponieważ żonie Kaczorowskiego należała się działka ziemi i część domu w Głuchowie po zmarłym bracie matki — przjechali do Głuchowa i zamieszkali. W gospodarstwie Piotra Botula, swna owego gospodarza, który był bratem matki Kaczorowskiej. Współzycie nie układało się najlepiej. Były awantury, o szkód w polu, o ziemię, o to że Botul nie pozwolił Kaczorowskiemu wprowadzić krowy do obory. Nie tylko się kłócili, padły również ciosy. Była sprawa sądowa o pobicie żo-

ny Botula przez Kaczorowskiego. Jednym z powodów ciągłych awantur były psy. Za cienką, zmurowaną ścianą domu stała buda, akurat w tym miejscu, gdzie spały dzieci Kaczorowskiego. Każdy brzęk łańcucha, każdy skowyt — doprowadzał do rozpacz. Wycie psów przerywało sen, doprowadzało do bezsilnej złości. Bezsilnej, gdyż Botul nie zgadzał się na przeniesienie budy. — Tu stała, niech tu stoi — mówi. On tu był panem. Pragnął zmusić ich, aby się wyprowadzili jak naprędzie. Tymczasem nowo wznoszony dom Kaczorowskich rósł powoli.

Wczesnym rankiem 11 maja 1966 r. wyrwał Kaczorowski ze snu szczekanie psa i słabe gąkanie duszonej kury. Była godz. 5. Kaczorowski wstał i szybko się ubrał. Jasia — powiedział do 11-letniej córki — wstań, bo pies zagryzł kurę i kurczak. Dziewczynka nie wstała. Gdy ojciec wyszedł zasnęła. Obudziły ją odgłosy kłótni. Wstała i wraz z 9-letnią siostrą podeszły do okna. Obie stały się mimowolnymi świadkami zbrodni. Kaczorowski w bezsilnej złości cisnął w psa kamieniem za to, że porwał się na jego kurę. Na skowyt swojego psa wyszedł ze stajni Botul. W rękę niósł siekiere. Kilka ostrych zdań i błysk siekiery. — Gdy ojciec upadł — mówiła dziewczynka — to wujko nachylił się i dokładnie widziałam, jak walił ojca siekierej w głowę. Plakałam, krzyczałam, a ciocia bila ojca kotkiem. — Ile razy uderzyłem nie wiem. Ogarnął mnie wtedy szal — mówił Botul.

Z sekcji dokonanej w Zakładzie Medycyny Sądowej w Łodzi „złotok mężczyzny, prawidłowej budowy, mizernej odywionej, długości 171 cm, wagi 58 kg, wieku 39 lat” — wynika, że były „4 głębokie rany rąbane głowy zadane ostrym narzędziem oraz cios w łopatkę i rękę”. Dokonawszy tego Botul wsiadł na rower, polecił córce odebrać pieniądze z GS za tuczniaka i popedałował do posterunku w Głuchowie zameldować o tym co się stało. Helena Botul myje siekiere i rabie drzewo. Obok leżą zwłoki.

Pręciły białe, siekiere, świerkowy chojak — tragiczne rekwiizyty wiejskiego dramatu leżą na sędziowskim stole. Na sali tłum ludzi, przetykany kolorowymi pasiakami. Niemal wszyscy mieszkańcy Głuchowa. Występują jako obrońcy wdowę i dzieci. A jak jest naprawdę? Wdowa i dzieci przez całą rozprawę stoją, nikt nie kwapi się ustąpić im miejsca. Siedzą rozparte wygodnie zdrowe dziewczyny i silni chłopcy. Z tego drob-

niego, ale wymownego faktu sędzić można, że powód ich obecności na sali jest inny. Ciekawość. Dla nich sąd jest jak teatr. Ubrali się nawet odświętnie.

— Domagam się — mówi na zakończenie prokurator Kaniewski — kary dożywotniego więzienia dla Piotra Botula i 7 lat więzienia — dla Heleny Botul.

— To tragedia dla dzieci — mówi w przerwie milicjant z wąsikiem. — Tragedia — przytakują. Ale nie ma w tej sprawie czarnego i białego charakteru — myślę. Jest zabójca i denat. Dwie tragedie — zginął człowiek — to pierwsza, a drugi przekreślił sobie życie — to druga. Patrząc w notatki: „Piotr Botul, lat 51, wykształcenie 5 klas szkoły podstawowej, nie karany, cieszy się dobrą opinią. Spokojny. Nie nadużywa alkoholu, z sąsiadami się nie kłóci. Majątek — 6 ha 60 arów, 1 koń, 2 krowy, jałówka, 4 świnię z prosiętami, 5 owiec. Z obowiązków się wywiązuje, z podatkami nie zalega”.

Nie był — trzeba to przyznać ani gorszy od tego, który padł pod jego ciosami, ani bogatszy, ani mądrzejszy. Nikt nie rodzi się przestępcą i Botul nie jest typem przestępcy. — Dlaczego zabił? — Trudno znaleźć odpowiedź na to pytanie. Wyjść z sytuacji było wiele. Sprawa nie jest prosta — mówi indagowany przeze mnie biegły sądowy, lekarz psychiatra — łączy się bowiem tu i zeznają z zanikająca już obyczajowość wiejska, ciemnota Botula, jego wąskie, ograniczone horyzonty myślowe nie wychodzące poza optykę gospodarstwa, sposób reagowania na bodźce — typowo wiejskie i tradycje. Nie umiem dokładnie odpowiedzieć — mówi — to sprawa raczej socjologa.

Zawiązała chyba tradycja wiejska, zanikająca ale do dziś jeszcze pokutująca. Tradycja dochodzenia siłą i przy pomocy siekiery lub kija — swych praw, praw własności uswieconych wiekami. Choćby praw do walacej się chałupy i cherlawego psa.

Sakramentalne. — Proszę wstać — sąd idzie! Na twarzach napięcie. Sędzia mówi szybko, wyraźnie: — W imieniu Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej, Sąd Wojewódzki dla województwa łódzkiego na sesji wyjazdowej w Skierniewicach, po rozpoznaniu w dniach 15 i 16 grudnia 1966 r. sprawy przeciwko oskarżonym Piotrowi i Helenie Botul, postanowił — uznać Piotra Botula za winnego zabójstwa Antoniego Kaczorowskiego, tj. za przestępstwo z art. 225 par. 1 Kodeksu Karnego i skazać go na karę dożywotniego wię-



zienia. Oskarżoną Helenę Botul za przestępstwo z art. 240 KK skazać na dwa lata więzienia.

Spoglądam na ławę oskarżonych — Botul płacze, jego żona ma twarz obojętną, nieporuszoną. To ona jest chyba moralnym sprawcą zabójstwa, ona judziła, namawiała, rozstrząsała, wyolbrzymiała każdy drobiaz, każdy zatarg do rozmiarów problemu, sprowadzała na placzkę — albo my — albo oni.

Droga ze Skierniewic do Łodzi prowadzi przez Głuchów. Z daleka widać wieś — jaśniejąca w ciemności luną świetlami. Za jasnymi ramami okien toczy się zwyczajne życie, dzieci odrabiają lekcje, starsi słuchają radia, oglądają programy telewizyjne. Ktoś człapie drogą z gazetą w rękę. Na przystanku autobusowym — wysiadają z PKS synowie i córki głuchowskich chłopów — uczniowie szkół i techników. Sunie traktor. W strażnicy kilka osób pochylonych nad motopompą. Krajobraz zatem wsi współczesnej.

Ogromne zmiany zaszły w Głuchowie w ciągu ostatnich 20 lat. Pozostała stara obyczajowość. Tu w Głuchowie urodził się Piotr Botul, stąd brał wzory zachowania. Ogromnym, rzecz można błyskawicznym, zmianom technicznym na wsi nie towarzyszą tak błyskawiczne i gruntowne zmiany obyczajowości. Na te zmiany potrzeba lat.

Późną jesienią i wczesną zimą w sądach wojewódzkich wzrasta gwałtownie ilość spraw o przestępstwo z art. 225 KK. Jest to pokłosie wiosennych i letnich sporów o miedz, o szkód w polu. Fachowcy twierdzą, że około 70 proc. wszczętych zabójstw i bójek popełnianych zostaje na wsi. Liczba ich (choć od pewnego czasu malejąca) jest wcale pokązna. Np. w 1962 r. popełniono w Polsce 585 zabójstw, w 1964 r. — 330, w ubiegłym roku — 349, zaś bójek zdarzyło się w ubiegłym roku 6.200.

Ten kontrast obyczajowości z krajobrazem nowoczesnej wsi widoczny jest również w Głuchowie.



## Lewym okiem

ŚWIĘTA, ŚWIĘTA...

Jeszcze bardzo niedawno temu mówiło się powszechnie, że Gwiazdka to takie na wskroś rodzinne święta, przepelnione nastrojem domu rodzinnego, wspomnieniami dzieciństwa, sentymentem, wzruszeniem. A oto na wile tygodni przed świętami do kas „Orbisu” ustawiają się kilometry wysiłku finansowego i po prostu fizycznego uciekają na te dwa czy trzy dni z domu. Nie bawi ich przystrojona choinka, nie odnawiają w sobie ani krztyny tamtych dziecięcych wzruszeń. Kłóre w nas — przedstawicielach średniego i starszego pokolenia — zapalają się co rok na nowo. Do gromadnej ucieczki młodych dołączają zresztą i nasi rówieśnicy, ci, których pamiętamy płaczącymi pod byle gałązką na różnych wojennych szlakach z tęsknotą za domem. Uciekają — albo po to, żeby udawać młodszych przyjmując ich obyczaj, albo — i chyba głównie dlatego — że z tym rodzinnym domem coś się zasadniczo zmieniło.

Niewątpliwie, u najgłębszych korzeni tych zmian jak i każdego innych leżą przyczyny ekonomiczne, czyli „stosunek do środków produkcji”. Żelazne prawa dziedziczenia rosnących — czy odwrotnie: malejących przez podział — mająt-

ków sprawiły, że rodzina to był klan, kasta, klika, siewa. Nie tylko ojciec, matka i dzieci. Rodzinę stanowiły także niezliczone ciotki i ich ciotki, wujkowie i stryjkowie tych wujków, jacyś nieokreśleni „kuzyni”, swagrowie i ich bracia, ciocietni zięciowie i synowie stryjecznych. Można się było nie znośić i wieszać na sobie wzajemnie psy, ale jak przyjechała w odwiedzinę taka ciotka, ledwie znana z legendy, to oczywiście było, że miła absolutne prawo mieszkać u gospodarzy parę tygodni; udzielenie pomocy krewnemu było czymś zrozumiałym samo przez się; co by familia pomyslała, gdyby nie przemówić za Lutkiem w sprawie posady, nie pożyczyc Władzi stu złotych, nie przeżywic Karolka przez dwa miesiące, podczas których jego braciszek chorował na szkarlatynę.

Wszyscy socjologowie, niezależnie od ustroju społecznego, w którym żyją i działają, piszą dziś o rozluźnieniu więzi rodzinnych. Ciotek i wujów w ogóle nie zna się już nawet z imienia. Lubilem dawniej stojąc w oknie obserwować świąteczny ruch uliczny: całe liczne grona rodziców z progeneraturą, najmłodsza pociecha na ręku, dwie-trzy z tyłu i z przodu, tata w wyglansowanych półbutkach, mama ze srebrnym listem na szyi i w kapeluszu z piórkim — walły w odwiedzinę do krewnych. Takie rodzinne zespoły dominowały w krajobrazie świątecznych ulic. W tym roku cisza i spokój. Zamiast glansować buty i męczyć się z krawatem, tata włożył dambosze i usiadł przed telewizorem. Nawet słynne zakupy świąteczne jakby mniejsze. Po co, skoro nikt — co daje Boże amen — do nas nie przyjdzie, wysilać się nie ma potrzeby; dla domowników wystarczy kura z buraczkami i jajka na śniadanie.

Być może nie bez znaczenia jest łatwość szybkiego i dużego awansu społecznego młodych i średnio młodych ludzi w naszej rzeczywistości, a jednocześnie — wielkie migracje ze wsi do

miast i z krawca w kraniec Polski. Młodzi inżynierowie, dyrektorzy i naukowcy mało mają wspólnego z krewnymi pozostałymi na gospodarzach lub pracującymi w zawodach fizycznych. Syn idący po karierę do miasta przyjeżdża jeszcze do domu dwa-trzy razy przy różnych okazjach, potem życie wciągnie go w inne, odległe sfery zainteresowań.

Wszystko się zmienia.

Nawet osobno wzięte jedno mieszkanie, jedno „ognisko” traci wiele z tych cech, które dawniej łączyły się w pojęcie domu. W „Miesięczniku Literackim” pisze J. Danecki, że „dziś dom rodzinny coraz częściej staje się miejscem spotkań osób, z których każda spędza podstawową część dnia gdzie indziej, uczestniczy w innych kręgach społecznych, ma „swoje własne kontakty” i „swoje własne sprawy”.

Nie można tego nie widzieć. Oczywiście, wykształca się nowe formacje, nowe zasady współżycia człowieka z człowiekiem. Powstają chyba nowe, mocne więzi międzyludzkie, wynikające nie z regulaminów organizacyjnych, tylko z najgłębszej, indywidualnej potrzeby uczuciowej. Zanim jednak to nastąpi — będziemy chyba długo jeszcze mówić o rosnącej samotności człowieka. Cóż nam z tego, że nieustannie przeżywamy wśród konwulsyjnie drgających tłumów na wszystkich szlakach świata, na placach i dansingach, w szpitalach i na obozach, w fabrykach i na stadionach sportowych — cóż z tego, że jest nas tak wielu, kiedy wszyscy jesteśmy anonimowi?

Stoję w oknie, patrzę w pusta perspektywę świątecznej ulicy i myślę jak przysennie pomieszkać tak raz na rok z sobą samym we własnym mieszkaniu, odkrytym na nowo. Jak źle musi być tym, którzy takie przyjemności nie tylko nie mają z kim, ale wręcz nie umieją z nikim podzielić...

CWIEK